

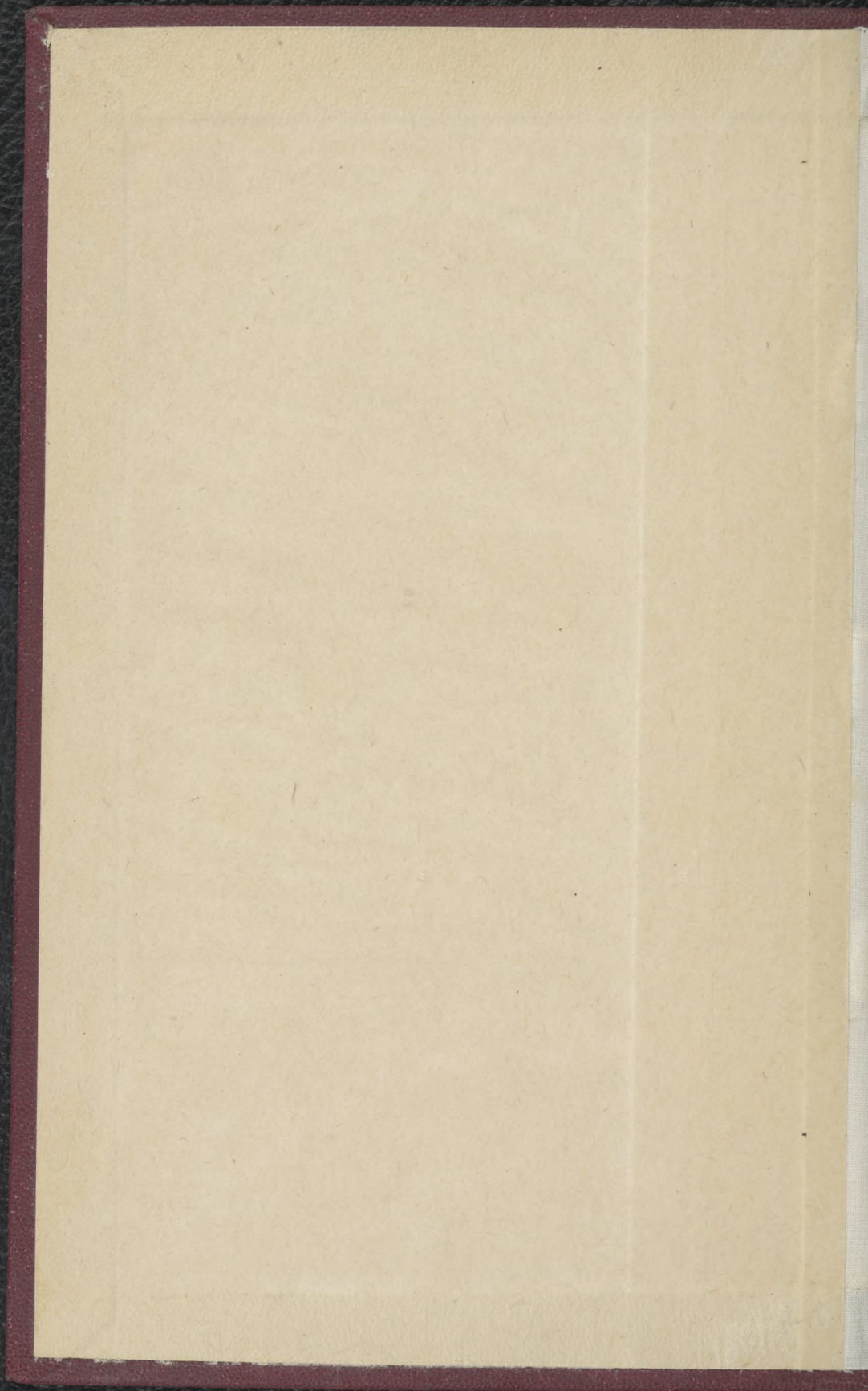
ANTONI PIOTROWSKI

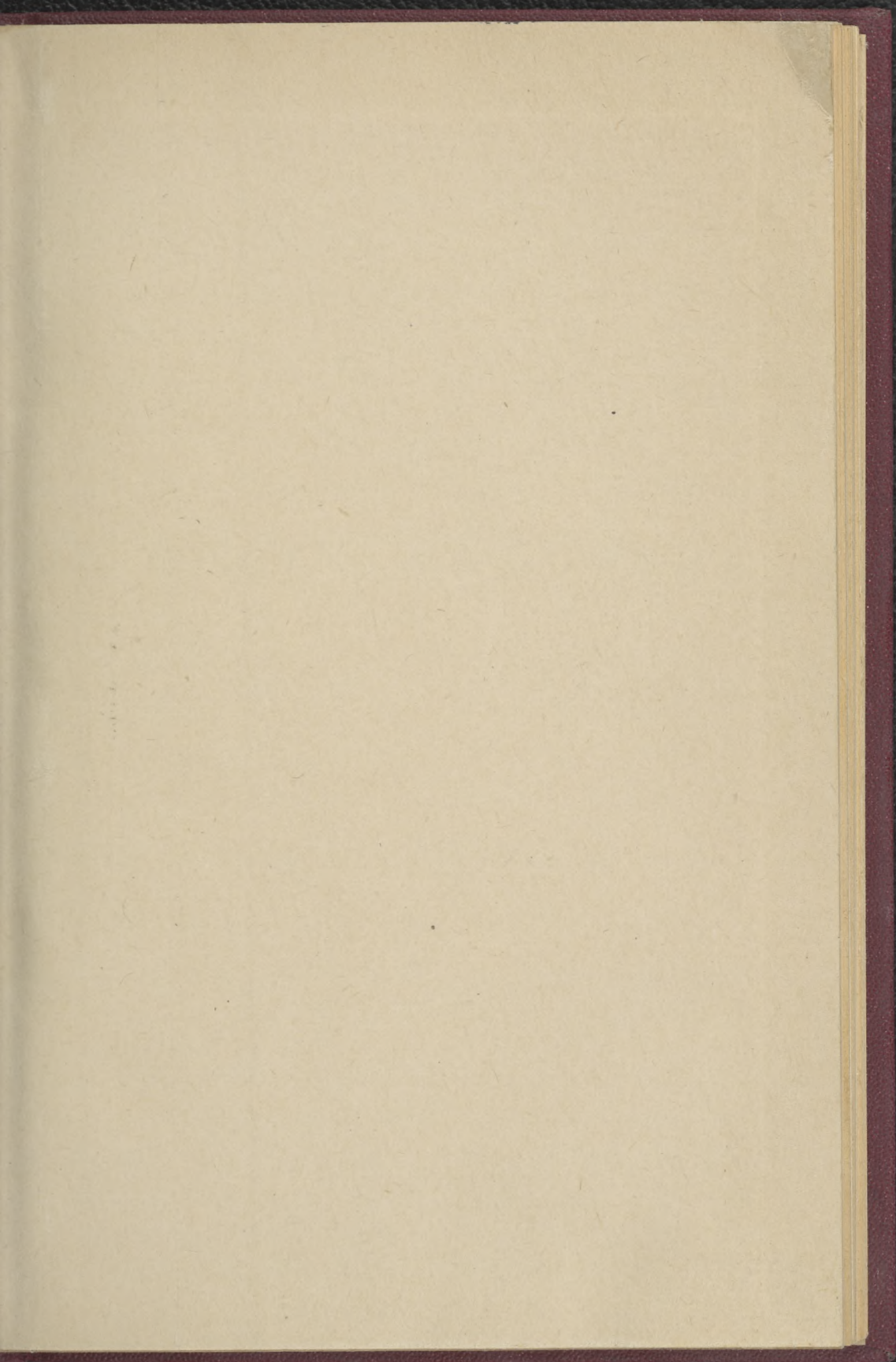
OD BAŁTYKU DO KARPAT

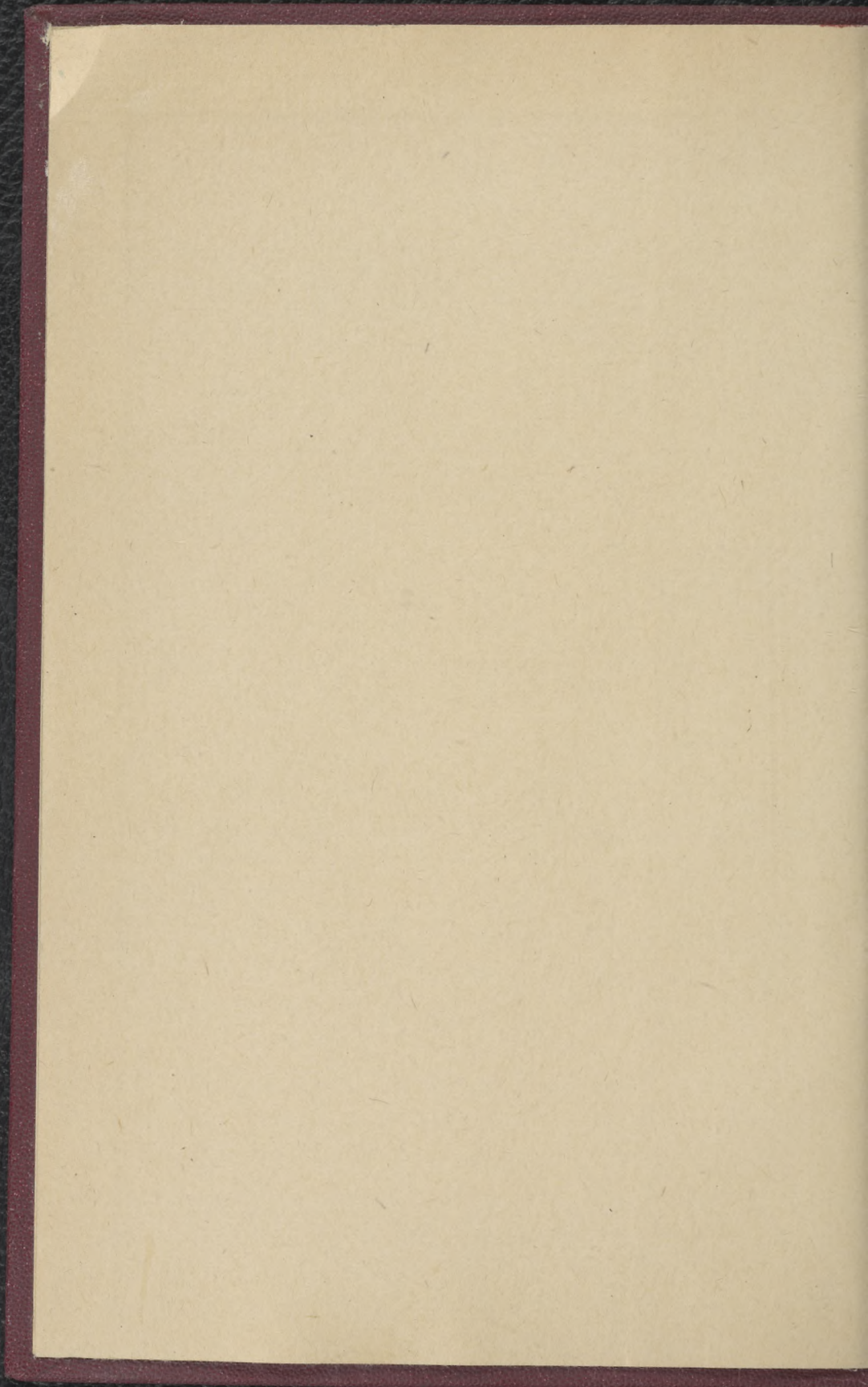


KRAKÓW

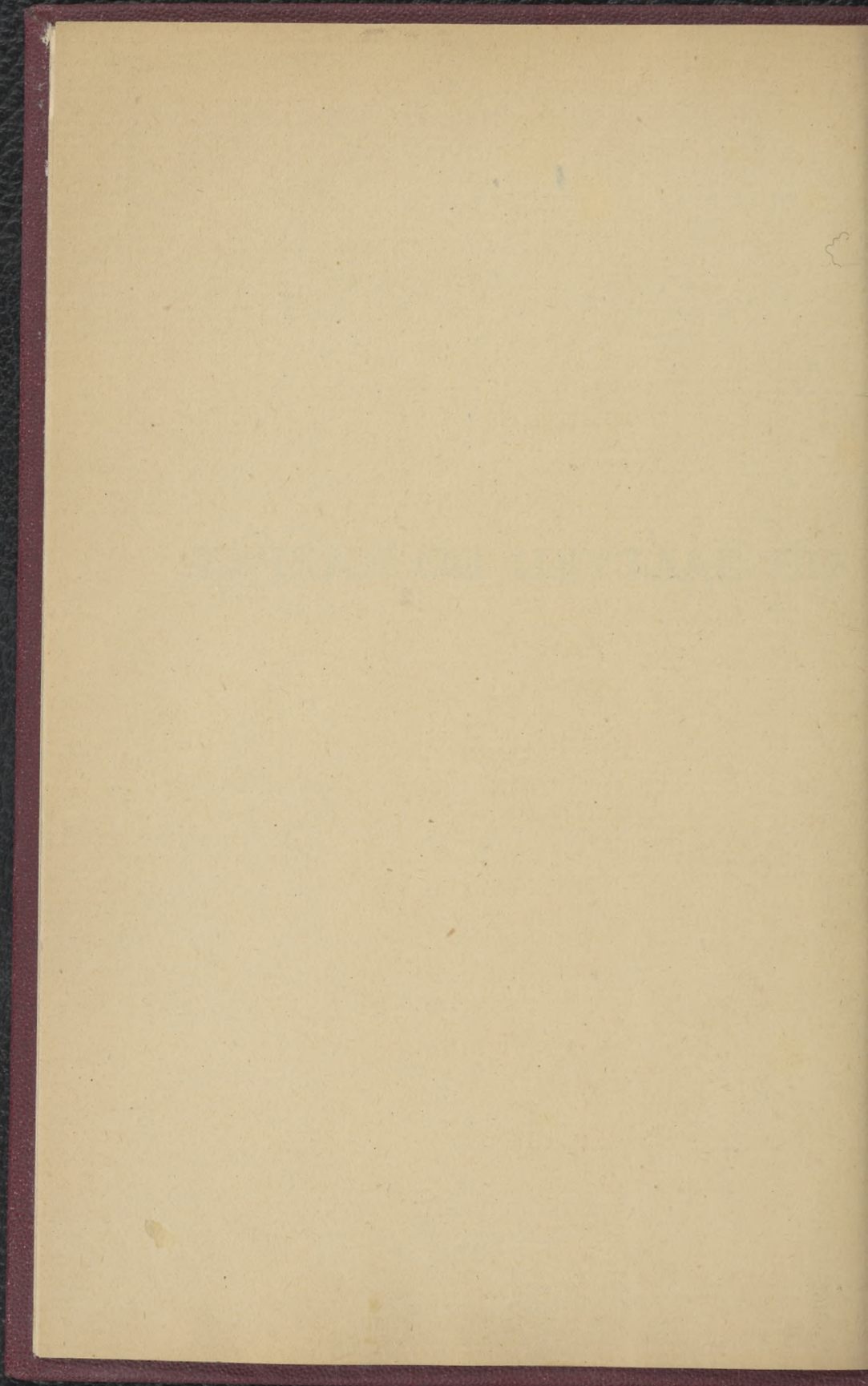
NAKLAD J. CZERNECKIEGO







OD BAŁTYKU DO KARPAT.



ANTONI PIOTROWSKI.

OD BAŁTYKU DO KARPAT

BAJKI LUDOWE

(ILUSTROWANE PRZEZ AUTORA).

KRAKÓW

ODBITO W DRUKARNI »CZASU«, — NAKŁADEM J. CZERNECKIEGO.

1917.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020619501

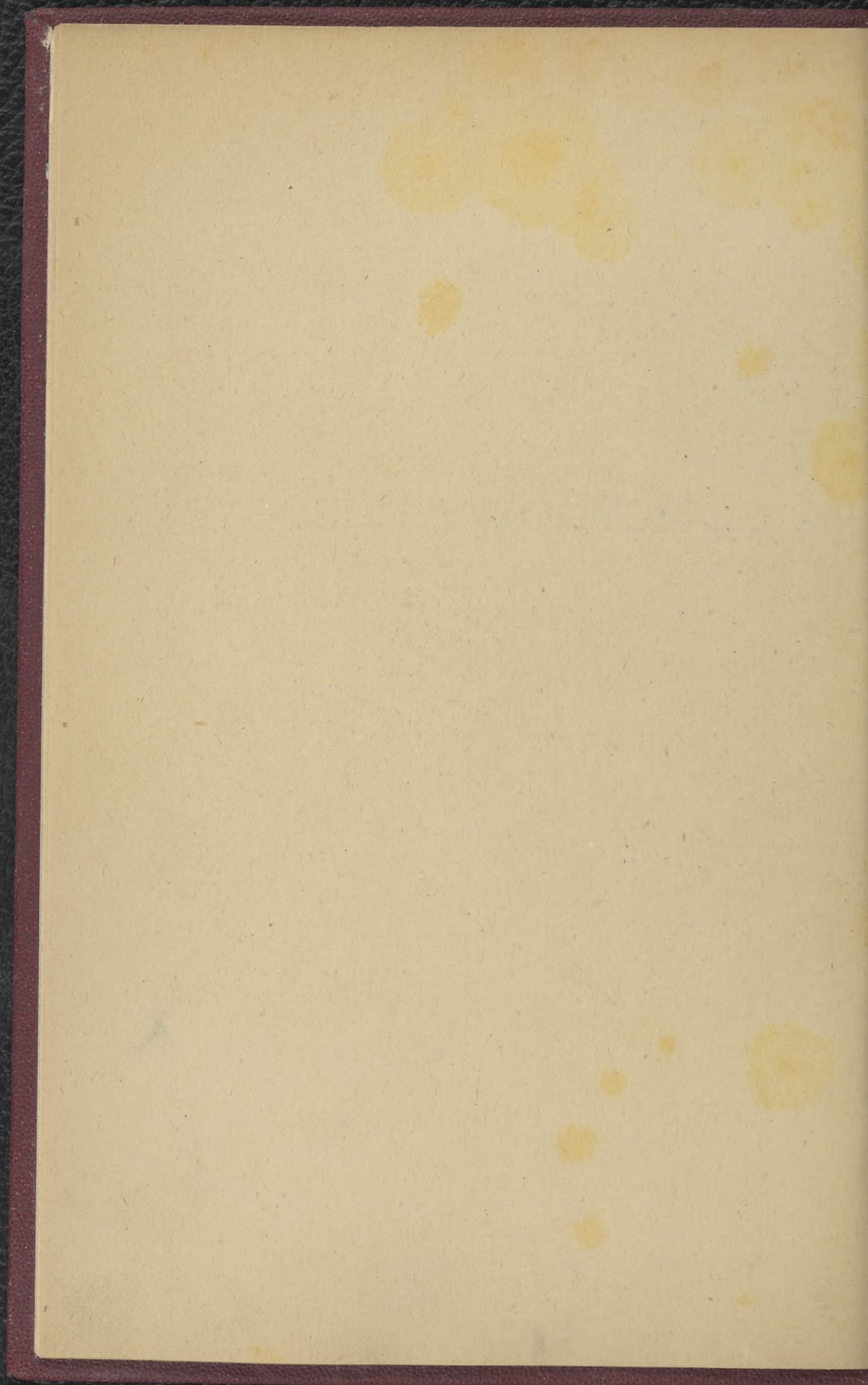


II 1. 411. 221



1990 D 319/135

O SEWCYKOWY DUSYCCE.





O SEWCYKOWY DUSYCCE.





Roz był tak biedny sewcyk, pijak to ta ón nie był, choć ta nie bez tygo, zeby ta roz bez jakiś cas wódki nie wypił; no i wzion i umer.

Tak, jak ta sewcykowa dusycka wysła z tego śmiternego ciała, tak nie wiele myślęcy, idzie do nieba. A ze to stuk drogi, tak se ta sewcykowa dusycka sła i sła a ze jom nózki rozbolały, a siadać nie było na chmurach kady, bo beła pogoda. Tak juz tak idzie i idzie, nózki juz ji popuchły, bo to sewcyk, jako zwycajnie, miał kiepskie buty.

Tak patrzy, a tu takie piękne wrota, całe ze złota i ze śrybła: a to beły niebieskie wrota. Tak sewcykowa dusycka zaceła do tych wrót kołatać. —

— Kogo tam Pon Bóg prowadzi, pyta się święty Pieter, co to zawdy przy tych wrotach stoi i dusycki do nieba pusco.

Tak sewcykowa dusycka, ze to sewcyk był na-bozny, tak pedo:

— Niech będzie pokwolony! —
— Na wieki! rzece św. Pieter —
— A któz ta?
— Jo, biedny sewcyk. —



A.P.

— A to ty coś dzisiok pomer? —

— A jusci pado, mówi sewcyk.

— A moześ złodziej? krodeś skóry? godoj! —

— Nie krodem, jak światłość wiekuistom oglón-
dać zyce, ino to co z pod noza pado.

— A podrugie, — mówi św. Pieter — nie pusce cie, bo Pon Bóg z Panem Jezusem i Przenajświętsom

Panienkom, wszystkiemy Świętomy, pošli na spacyr. Jak Pon Bóg przyńdom ze spacyru, to cie pusce. —

— Kiej me strąśnie nogi bolom a niema kaj spocywać. —

Tak święty Pieter zlitował się nad tą sewcykową dusycką, bo obocył ze mo kiepskie buty, tak powiada, mówi:

— Jus cie pusce, bo mi cie zol, ale pocóżeś takie kiepskie buty wzion na dróge?... przecieżeś sewc!

— A bo to św. Pieter nie wiedzom, ze sewc zawdy w kiepskich butach, abo i bez butow chodzi? —

— To tam u wos kiepskie je urzondzynie! — pado, mówi św. Pieter. Otwar wrota i pado do sewcykowy dusycki:

— Właż, siądz se tu za drzwiami i siedź cicho. Mos tam niebieskie smaty, to sie przyoblec: przecie takiego oberwańca tu trzymoł nie bede! —

A tam za temi drzwiami były takie oblecena niebieskie, takie białe, co jesce bielse niz łabędziowe pierze. Tak ta sewcykowa dusa przeoblekła się, i tak ji beło dobrze, co jesce lepsi, jak kiej sie na świat narodziła.

Tak patrzy po tem niebie a tam takie cudności, a wsyćko sie tak miniło, jak ta tęca, tak cosik pachniało, ze lepsi jak na polu na wiosne. Tak sewcykowa dusa se tak myśli:

— Bedzie mi tu dobrze, zeby me ino ostawili! —

No i patrzy na obykoło, a tam stojom takie stołki różne, i beła strasna moc tych stołków. Ale nolepsi spodoboł się ty sewcykowy dusycce jeden stołek taki wielgi, cały wyrobiony ze złota, srybła i nabijany takemy świuncemey kamieniami kiej szkło, a przy tem wielgiem stołku stał taki mały stołeczek.

Okropnie ty dusycce sie zachciało na tem stołku siadać, ale sie świętego Pietra bała. Ale za jakiś czas jus i strachu przepomniała na ten stołeczek patrzący, no i siadła na tem stołku.

A tu patrzy ze z tygo stołka wszycko na ziemi widać (bo to beł stołek Pana Boga).



Widzi het całum zimie jak ludzie orzom, pasom bydło, jak ptaki latajom, jak sie baby klócom, żydy hanglujom, het wszycko! A beła tam rzycka, a w ty rzycce prała baba chusty, ale nie swoje, ino ludzkie. Tak sewcykowa dusa patrzy na te babe, bo beła zna-

joma, a ta baba bierze dwie kosiule i niesie do krzoków i schowała — ukradła. Tak sie sewcykowa dusycka strasznie ozgniwała i zacena do ty baby wrzescyć! — Nie kradnij! — ale kiej tam! baba nie słysała bo grzysny niebieskiego głosu nie słysy, a po drugie, ze beło daleko ty babie do nieba.

Tak w ty złości, nie wiele myślący, ta dusycka łap za ten stolecek mały i w te babe!

W to ocymgnienie wrota zaskrzypiały (niby te niebieskie) tak sewcykowa dusa sie schowała w ten kóncik za drzwiami.

I przysed Pon Bóg ze spacyru i Pon Jezus i Pannienka Przenojświętso, i wsycy Święci, i jamiolowie — okropna sie łona zrobiela.

Jamiolowie zaceli grać tak pieknie, co jas sewkowa dusycka od radości mglala.

Pod ten trakt, Pon Bóg se usiedli na tem stolku, co to na niem sewcykowa dusa siedziała i padajom:

— Dajcie mi ta stolek pod nogi! —

Tak jamiolowie dalej sukać stoleka, a tu nima nikaj.

Jak wzieni sukać, tak naleźli sewcykowom dusycke za temi drzwiami.

Tak dopiro pytajom sie:

— Co ty tu robis? —

A ta dusycka z wielgiem, strachem pado, mówi, że jom tu św. Pieter puścił.

Tak jom zaprowadzili do Pana Boga, i jus sie więcy nie bała. A Pon Bóg zaroz, ze to wsycko wiedzom, tak padajom:

— Kajś podziol mój stolecek? —

Tak sewcywa dusycka dopi ro mówi, co i jak beło, że tem stołeckiem ciska na te babe.

Tak Pon Bóg tak pedzieli:

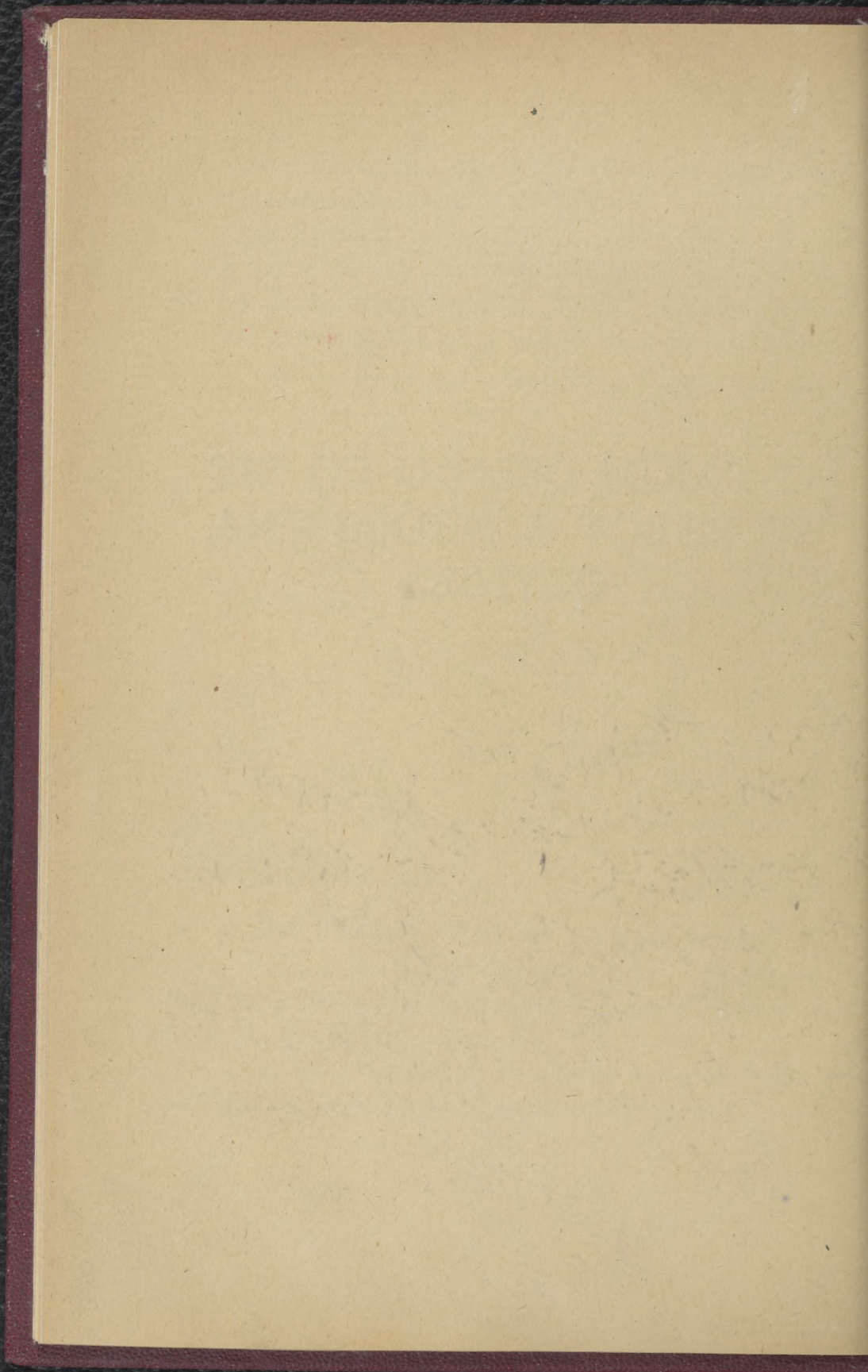
— Kiej cie jus św. Pieter puścił, to se tu siedź, ale by ci się cyściec przydoł. Widzis, nie trza sie zaroz gniewać, jak coś złego widzis. Ja zebym sie chcioł



tak ciągiem gniewać, toby m juz nie mioł na cem siedzieć, tyła złego ludzie robiom! — Bo Pon Bóg są dobrzy: choć co złego widzom, to cekajom. — Moze — padajom, sie zły poprawi. —

A jak sie poprawi to sie wsycy w niebie ciesom, jamiolowie zaroz grajom pieknie od ty radości.

O TAKIM DZIADU CO SIĘ
W RZECY Z KRÓLEWNA
OZYNIŁ.





O TAKIM DZIADU
CO SIĘ W RZECY Z RRÓLEWNĄ OZYNIŁ.





Po odpustach abo po jarmarkach, to poniektóry dziad siędzie se przy drodze, ozłoży torby i śpiwo tak bez nos:

Roz się krolewna w dziadu pokochała,
Jest ci to o tem historyja cała...

Myślóby kto, ze to tak beło, a to nie beło tak
Zwyczajnie dziady sie chwolom ze to niby dziady
takie hónorne i zeby im bez to ludzie więcyk dajali.

Po prowdzie to tak beło:

Jednego razu beł taki król okropnie bogaty, co
u niego parobcy dukaty ćwierciom mirzali, bo to to
w śpichrzach leżało jak zboze.

Ten król miał córke jedynacke, ale una beła taka
klapa, co sie ani myć, ani cesać nie kciała, ani przónść,
ani pirzy drzyć, ino leżała na pierzynie i jadła kiełbase
z ciastkami.

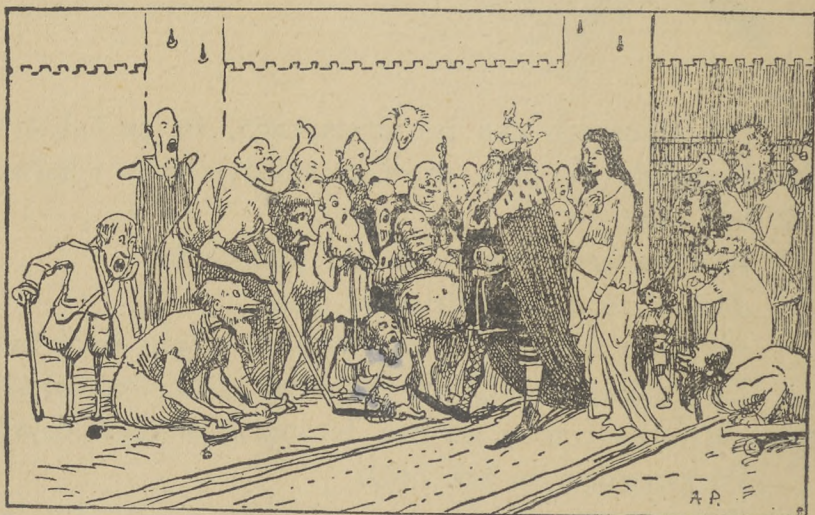
Urosła na ty pierzynie wielgo i spašno, a jak jom roz
za jakiś cas umyli, to na gębie była tako biało jak śmie-
tana. Tak sie kawalirowie podowiadajali, ze ten król mo
córke, i — zaceni przyjezdzać, bo sie chcieli z niom zynić.

Ale óna nie kciała do tych kawalirów wychodzić i padała tak:

— Eh! pado — a bo mi to źle? Któz ta wie, jak mi bedzie! —

Tak ten król okropnie sie ozgniwoł i pada:

— Kiej sie sama nie chceš wydać, to jo cie wydom. Pódzies za dziada, kiej porzómnych kawalirów nie chceš, pado.



Tak kozoł po tem kraju ozgłosić, zeby sie wszyćkie dziady schodziły do zomku, bo bedzie córke za dziada dajoł.

Nasło sie dziadów z całego kraju, okropna moc. Były tam różne przeróżne cudoki, przez nogów, przez ręców, przez głowów, ślepe, głuche, niemówiące, łyse, kudłate, siemieniate, ligawe, kaprawe.

Były pijoki, opuchloki, rozbijoki, siwe, kraciaste, cerwóne, zólte i corne. A zapowietrzyli cały zomek ze wszyćkie dworskie ludzie u tego króla zaceli kichać.

Dopiero jak wszystkie dziady się zeszyły wzion ten król te swoje córke za róncke z ty pierzyny i pado:

— Choć — pado — wybier se dziada. — Óna się bała ojca, tak posła, ale z pirzamy we łbie i cało umamlano ciastkami.

Tak chodzili między temy dziadamy, a te dziady się przechwolały, co jeden to lepi, zeby go wziena za męża.

I harmider beł okropny.

Tak jak prześli, tak ón ten król pyta się córki:

— No gadaj! pado — który ci się najlepsi podobał?

— Kiej mi się zoden, nie podobał — pada ta córka.

— Abo dziod, abo — pada król — do lochu pódzies na rok i sześć niedziel o chlebie i wodzie! —

Óna się złąkła i pado:

— Jus bede wybirać. —

Wybrała se takiego maluskiego chudziutkiego, koscianego dziadka, co ino zipoł jak kurce, bo se tak myślała, że pędko pare puści i będzie wdowom.

Dopiro ten król, kozoł tych dziadów wszystkich wygonić i dać jeno po grosu. A tyla tego beło, ze musieli pięć ćwierci dukatów na grose u zydów zmieniać.

Dopiro, jak te dziady odesły, tak z tym maluskim zrobili wesele. Umyli go wiechciem lokaje, wycesali, perskim proskiem posypali, dali mu taki ślafrok



jak dziedzicowi. Na tem weselu nie było gościów, bo się ten król wstydził, że córke za dziada wydaje.

Tak po tem weselu, posła ta królewna ze swoim kościanym dziadkiem na swoje pokoje i chciała se na pierzynie legnąć, a ten dziadek powiada:

— Uciek — powiada — bo ja se legne! —



Lóg na ty pierzynie i pado:

—Przynies mi jedzynio, bom sie, pado, na weselu nie najod. —

Óna nosieła mu jedzynie od rana do wieczora, mało co jadła, a spała na skrzynce.

Dziod sie tak spos, jak wieprzek

na gody i ciągiem lezoł na pierzynie i mamrotał:

— Dobrze się z królewnom dziadoju ozynić, dobrze! —

Óna jus nie wiedziała co z tym dziadem robić i załowała, ze se młodego kawalira za męża nie wziena.

Jednego razu zabili u tego króla siedmiu wołów na kołacyjom, tak óna idzie do kuchni po jedzynie lo tego dziada i zobocyła ze stojom w saflach, z tych siedmiu wołów flaki. Tak wziena te flaki i niesie dziadoju i tak se myśli: — Jak te flaki zezres, zebyś pęk! —

Dobre beły te flaki. Dziod jak se cypił tych saflików, tak trzy safle zjod, a cworty napocoł. A tu jak

cosi nie huknie, jak z harmaty, pierzyny i poduski się ozleciały, okno tyż: to ten dziód, wzion i pęk.



Tak óna sie ucieszyła, idzie do tego króla, (niby swego ojca) i pado:

— Mój dziód wzion i pęk, tero jo — pado — wdowa.

— Eh! — pado król — takóś ty wdowo, jak jo kawalir. Całe to wesele — pado, to było ino w rzecy, zebyś się poprawiła.

Tak óny się wstyd zrobiło, ze downi tak leżała na ty pierzynie i zarła jak ten dziód i pada:

— Juz sie poprawie. —

Tak ten król sie ucieszył i wyprawił takie granie. Naprzyzdzalo różnych kawalirów, krolewiców, dziedziców i oficyrów.

Óna umyła się, ucesała sie, ubrała sie i posła na to granie. Jak jom te kawaliry zobacyli, zaceni sie bić, który z niom bedzie tyńcował.

Pobił wszyčkich taki ładny królewic i huloł z niom do samego rana.

Tak ten król pado:

— Udał ci się ten kawalir?

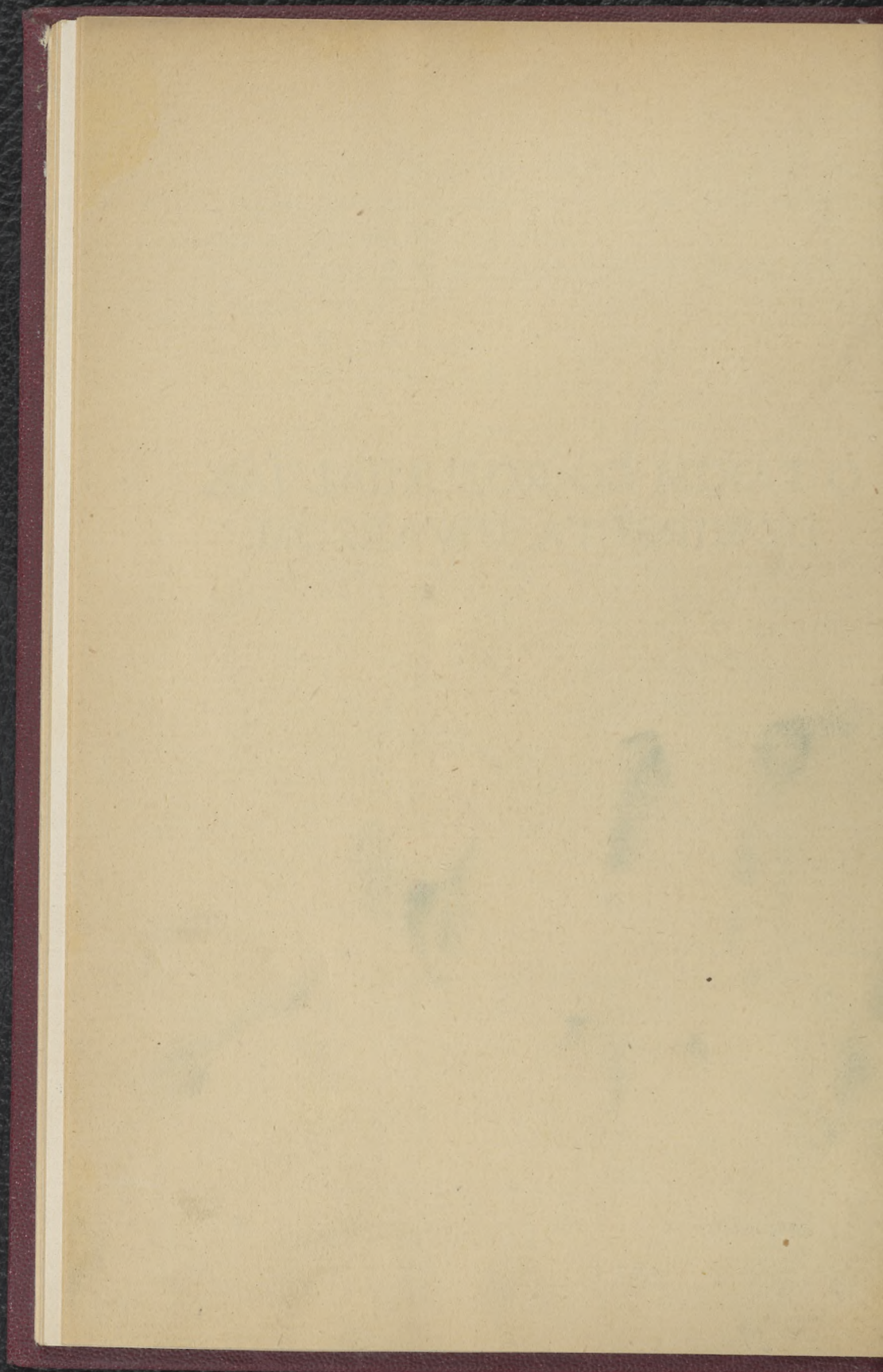


— A ino! —

— To go se bierz, tero juz cie naprawdę za niego wydom. — Tak dopiro zrobieli wesele, nie takie dzia-dowskie, ale porzómne: jedli, pili, hulali, bez całe dwa tygodnie. I jo ta beł, jod, pieł, po brodzie kapało, a w ge-bie nie ostało.

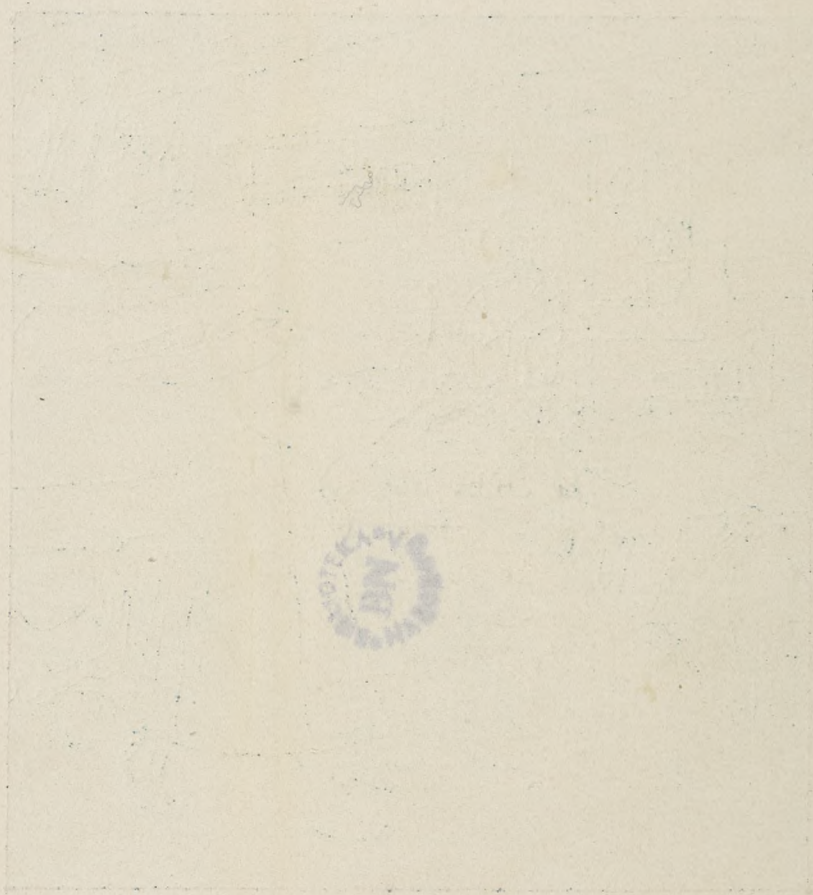
To beło tak.

O TAKIM CO ROZUMIAŁ JAK
DZWIRZĘTA GWARZOM.





O TAKIM
CO ROZUMIAŁ JAK DZWIRZĘTA GWARZOM.





Roz był taki hruby gazda — dość ta stary już był, bo mu się na pięćdziesiąt obróciło; no i wzion i uozenił się. Dziwke se wzion młodom — bo ino się zwiedziały, co się stary zenił będzie — syćka się za niego kciały wydać.

Tak se już wybroł takom śmigłom jak smerek, a cerwónom na gębie co hej! Nienogorso była, niby ta jego baba, ino wierzgać lubiła strasznie i ciekawo tako co jaze okropa. Syćka óne takie — to ta nie dziwno. Jak posła do karcmy na toniec, to jom już tak siuhaje wyobertali, co ino kiecki na ni furcały. I śmiała się ze swego gazdy, że już tak hipkać nie może, jak te siuhaje.

A stary to się ino śmiał i nic.

Ze zaś piękne miał polany popod regłami, tak kosili jednego razu jego polane, a ón się przypatrował, bo jus sam sam się do kosy nie broł, niby że to hruby

gazda. Stoi tak i patrzy, jak sie trawa piknie kładzie pod kosom, a tu zacynajom kosiorze wrzeczyc: „Zabij, zabij“! — i goniom cosik po trowie z kosami, a to był wąż z młodemi. Tak ón pedo, mówi: „Dajcie pokoj niech se idzie — tak óni dali pokoj temu wężowi z temi młodemi — no i nic. —



Ale zaś pote — idzie se gazda pyrtkom dołu, bo juz beło południe, a tu na perci lezy wąż; stanon i patrzy, a wąż do niego gwarzy:

— Zratowałeś mnie i moje dzieciska od śmierci — teraz godoj co fces, to ci się stanie. Lebo pieniedzy fces, lebo długiego zycia — to juz tak bedzie.

Gazda se myśli i pado tak:

— Pieniedzy mom dość, to mi starcy, zycie długie nie dobre, a pote Pon Bóg Nowyzsy juz to nalepi wie, co komu trza nic mi potem.

— Moze kces rozumieć co dźwirzeta gwarzom? pyto wąż. —

— Toby mi się podobało! —

— No to juz tak bedzie, ino zodny babie o tem nie mów bo umrzes! —

I wąż kasi przepod.

Tak ten gazda idzie dalej i przysed pode swój ogród, a w tem ogrodzie wróble na wiśniach.

Jak go uźrały, tak opropny harmider zrobiły: — Cir, cir! dobry gazda, cir, cir, ciok, ciok! lećwa na somsiadowe wiśnie, nie trza mu psuć, frrr... Hurra! —

i poleciały do somsiada. A on sie zradował, co jus rozumie, i ze go to wróble znajom.

Ano idzie dalej, jaz przy wrotach lezy jego pies Krucek; jak użroł gazdę, podniósł się, idzie ku niemu, ogónem juz tak wywijo:

— Ham, ham! idzie mój kochany gazda, ham, ham! strasznie go lubie, ham, ham! okropnie go lubie. —

Tak ten gazda, znowu się zradował, ze tyz rozumie, i ze ten pies tak go strasznie lubi i pogładził psa po grzybiecie. A ta jego młoda baba patrzała przez okno, jak stary sed i myśli se: — cego ten stary dziod taki rod, ze sie ciągiem śmieje? — cosik w tem musi być! I tak na niego patrzy, tako ciekawo, co jaze jej z ręków wsyćko leci, i het za nim chodzi i śpieguje. —

Na samo połednie przyšli rataje, co orali wołami, i gazda posed zażryć na woły.

Jeden wół lezy i stęko:

— Buu, buu! straszniem sie narobił, syćkie gnaty mie bolom, buu! buu!

A kozioł co nic nie robił, ino podrygiwoł i brodom trząchoł, pado do tego woła:

— Bee! bee! jaki ty głupi! Jakby na mnie padło, tobym się podoł za maroda¹⁾ i lezołbym cały dzień! bee! bee! Ano ten gazda słucho i śmieje sie i myśli se: — Zackoj hyclu, bedzies na odwiecyrz oroł! —

A ta jego baba het za nim chodzi i aze jom gorąco bierze, co to takiego ze ón sie ciągiem śmieje.

Tak po połedniu, pacholek przychodzi do gazdy i pado:

¹⁾ Marod — słaby. —

— Ten sady wół, musi chory, bo strasznie stęko. —
— Wiem — pado gazda; — weź tego kozła do pług.
Dopiro pacholek do kozła zaprzongać. Kozieł za-
con skikać, ale pacholek przykrył go zaś batem dobrze,
tak kozieł: — Bee! bee! tom se narobił! —

A gazda ino słucho i śmieje sie. Gaździna zaś ani jeść
ani pić nic nie moze ino se myśli: co ón mo, ten gazda?

Wiecór — powrócił ten pacholek z tym kozłem
od oracki — no i dobrze nie bardzo: Kozieł ino no-
gami płało, zerznęty batem. Od południa do wieczora
jednom bruzde wyoroł.

Jakze go wyprzęgli, tak zaroz do woła:

— Bee! bee! wstawoj nieboze, idź do roboty, boby
me tu do śmierci zamęcyl. —

— Buu! buu! nie podobało ci sie oranie. —

— Bee! bee! juz by moja śmierć była kiebyk
oroł! — pado kozieł.

A gazda sie śmieje.

— No juz dłuzy nie wytrzymom — pado gaździna
musi mi pedzieć, z cego ón sie śmieje.

Tak na kolacyjom nasmażyła jajków z kielbasom,
gorzałki słodki przyniosła i staremu zastawio.

— A idz-ze! a pij-ze! mój-eś ty!

Jo cie widzisz strasznie lubie, a ty mnie nic.

Tak ón se podjod i pyto sie:

— Lo cego scekos, ze jo cie nie lubie? —

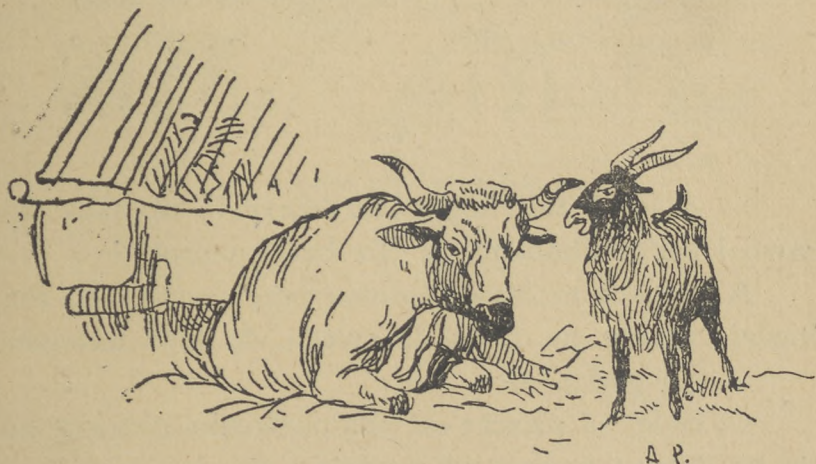
— Abo mi nie kces powiedzieć z cego sie śmiejes,
takiś to ty! Swiatem se zawiązała bez ciebie, a teraz
od załości umierać bede! — Jak wzięła starego gła-
skać pod po gębie a całować, a trzyć sie o niego, kie
kotka, tak całki zmięk, bo był na kobity ciekawy.

A óna prosić: — powidz, powidz!

Tak ón tak:

— Widzis, tako je rzec, ze jak ci powiem, to zaro bede umirol. —

— To juz umrzyj, a powiedz my!



Tak ón powiadao:

— Przynies tu prosty słomy, bo na pierzynie źle umirać, to ci juz powiem, a pote umre. —

Tak óna skocyła co tchu po te słóme. A tu pies Krucek lezy pod stołem i płace:

— Ham! ham! rety na świecie, taki dobry gazda, bedzie umirol! ham! ham!

A kołut chodzi po izbie, ostrogamy brzėko i śmieje sie: — Ko! ko, ko, tak! —

— Cegos sie, psiawiaro śmiejes ham, ha!

— Ko, ko, ko, a bo chłop głupi, jednom babe mo, a rady i dać nie moze, a ja mom cztyry i dwadzieścia i mores!... Ko, ko, ko, brzonk, brzonk! —

A gazda słucho i myśli:



A. 9

— A juści ten kogut ma racyjom, ze baba ciekawo i przychlibno, to za cöz bede umirol! —

A tu baba rychtyk ze słomą przyleciała, juści rozwięzuje równo na izbie, lo swego, do tego umirania.

— No godoj. —

— Hale, ba jeszcze mi trza postronka przynieś no, ale go dobrze namoc we wodzie. —

Tok óna jak cyga, po ten postronek i juści przyleciała.

— Godoj! —

Tak ón napluł w rękę, zložuł postronek we dwoje, babe za warkocz i dopiro jak nie zacnie okładać.

— To ty tako, to chces moi śmierci, a mas! a mas! —
Wyproł pieknie.

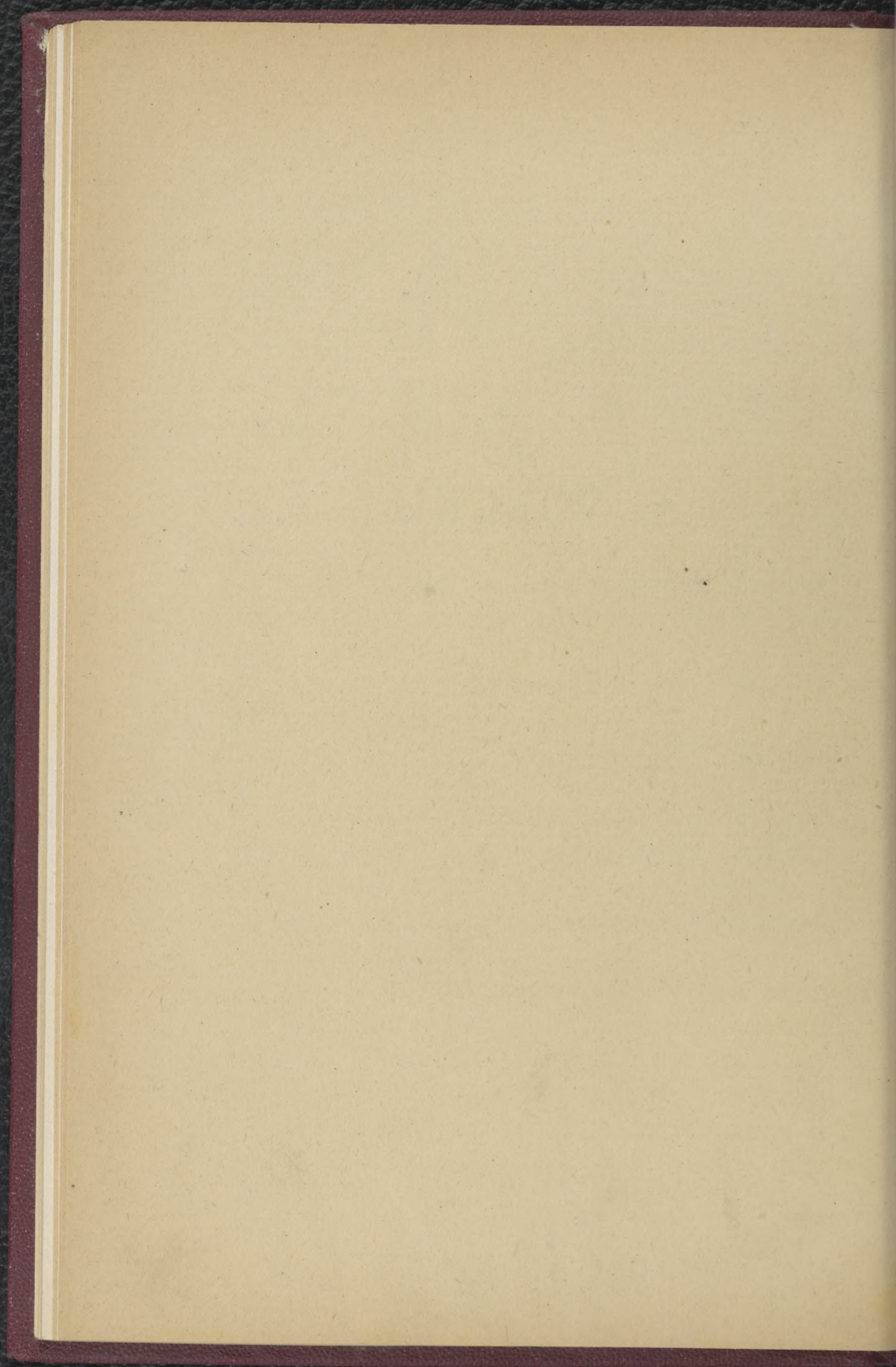
— Ko! ko, ko, tak! dobrze ci tak! — wołał kogut.

Od tego czasu ta baba tako beła dobro, co okropa: ani wirzgała, ani ze siuhajami nie naśmiwała sie ze starego, ino mu w ocy patrzyła, cy zaś cego nie chce.

Bo zaś starzy ludzie, to tak gwarzom:

— Jak chłop baby nie bije, to w ni wątroba gnije.

O WILCKU.





O WILCKU.





Jak Pan Bóg stworzył syćkie dźwirzeta, ba, zaro zaś im wikt przernacył, żeby zaś miały co zryć ino se o wilcku, przepómniol. Tak, dobrze nie bardzo, chodzi ón wilcek po świecie i miarkuje se tak, ze mu cosik feluje, bo mu jakosi bebechy skronco i mgło mu je.

Ano, myśli se, cheba ze mi się jeść kce! Ale ba! cóz bedem jod, kiej mi Pan Bóg wiktu nijakiego nie przernacył?

Tak co robiący idzie se wilcek ku Panu Bogu i pado:
Panie Boze, Panie Boze, stworzyłeś me, aleś mi zodnego wiktu nie przernacył.

Pan Bóg prasnon sie w kolano i pado. — Prowda! zabacyłek se o tobie, ha, no! Kie zaś tak! to idź tam, na brzyzku pasie sie barón, to go sjudz. —

Ano, dobrze nie bardzo — poseł wilcek na ten brzyzek: a juści się barón pasie!

Pado do niego:

— Baranie, baranie, jus na cie przysła ostatnio godzina, bo ciek zjem.

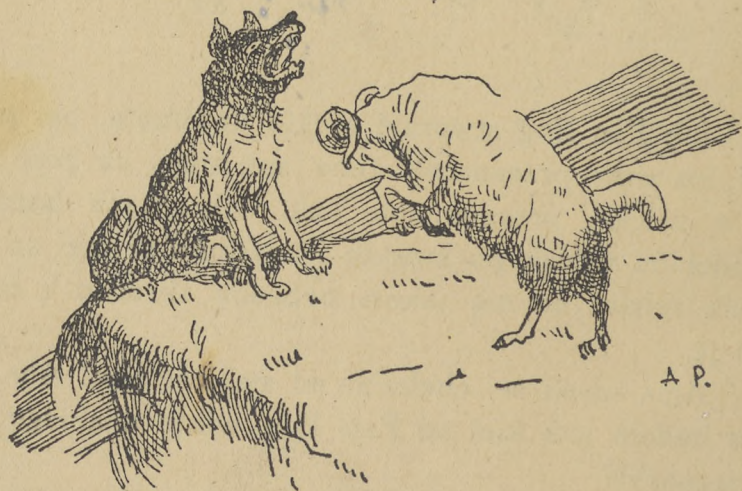
Barón przestał gebom rusać i pado:

— Jakem prawem i przykozaniem mos me zjeść?

— Prawem boskem i przykozaniem.

— Ano kie tak, to nie ma redy, to me jus jedz, ino zeby mi zaś nie było zol długo umierać, to se na brzyzku siednij, ozewrzyj kufe, a jo skocem do tobie. —

Ano, dobrze nie bardzo, wilcek se sied na brzyzku, kufe ozwar okiel ino móg, i ceko. Barón się odwiód,



jak go nie praśnie rogamy w deke tak sie wilk z brzyzka wykopyrtnął i lezy.

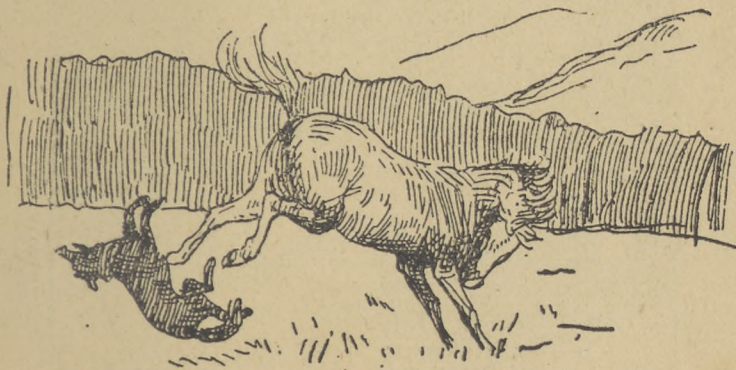
Zrazu go zemgłiło, zaś pote odecniło go i myśli:
„Cyk zjod barana, cyk nie zjod?...”

Ba i chebak nie zjod, bo me ścisko na wnętrzu
i bebechy we mnie grają, kieby stare gęśle”.

Na nic tako sprawa — no i poseł znowu ku Panu
Bogu i pado:

— Panie Boze, Panie Boze, stworzyłeś mie, aleś
mi zodnego wiktu nie przeznacył.

Durniu! przepytujem, bedzies się swędał cięgem?
Dopiro wilcek pado: było tak a tak.



A.P.

Pan Bóg se pogładził brodę i pado:

— Ano kie tak, to idź tam pod regle, tam sie
pasie kobyła, to se jom sjidz.

Idzie wilcek popod regle do ty kobyły i pado:

— Kobyło, kobyło, jus na cie przysła ostatnio
godzina, bo cie sjem! —

Kobyła przestała scypać trowe i pado:

— Jakimze prawem mos mie jeść!? —

— Boskem prawem, bo takie wysło przykozanie.

— A no kie tak, to trudno, ino żeby moje ocy
tego nie widziały, to jak mnie bedzies jod, nie napo-

cynaj me z przodu, ino od zadku. — Wilk do kobyli pieceni, a ta jak nie praśnie kopytami, wilcka pod brodę, juści lezy, zamrocyło go setnie, i długo lezoł zakiel go odemrocyło.

Ano lezy i myśli:

„Cyk zjod kobyłe, cyk nie zjod?... Ech chybak nie zjod, bo mi całke zywot do grzbietu przywar“



I poseł znowu ku Panu Bógu:

— Panie Boze, Panie Boze, stworzyłeś me, aleś mi zodnego wiktü nie przeznacył!

— Kis ta djascy z tym durniem, przepytujem! — pado Pan Bóg: — Cięgiem ino łazi i brzdęcy! Przekiem ci nakozoł zjeść te kobyłe pod reglem! —

Dopiro wilk powiado: tak a tak. Tak Pan Bóg se ozmysłował, a po brodzie się gładził i pado:

— Wies?... tam u Józka Gaśienicy z pode drogi jest we chliwie wieprzek spaśny! —

— Cobyk zaś nie wiedziol — pado wilcek.

— Ano to i sjidz go!

Posel wilcek ku Józkowy Gąsienicowy chałupie i chodzi, wartko zacuł kabana, ale ba kie chliw zawarty. Probuje ściany: gdzie zaś! bole po pół łokcia grube, tak dobrze nie bardzo, jon drzyć pazdurami pod przycieś, jak gorol za świstakami.



Włazi do chliwa wieprzek lezy se we słómie, brzusysko ozwalił mrúgo ino ocami i krzaka. Jak užroł wilka pyto:

— Cegos tamoj? —

— Wieprzusi, wieprzusi, jus na cie przysła ostatnio godzina bo ciek sjem.

— Zebyś ty mie miał jeść, to mi sie nie widzi, bo mi to przecie gazda tak wygodzo, ze mie bedzie jod. Jakemze prawem?

— Boskem prawem i boskem przykozaniem. —

— Ha! no kie tak, to trudno!... Co mi ta płaci, cy mie ty sjis, cy gazda... tak mi u tobie w bebeczach, jak i u niego, ino kwile zackoj, to sie pomodle. — Jak zacnie wieprzek kwicyć na to modlenie, tak Józko Gąsienicowo budzi sie, pado do Józka:

— Józek chybaj wartko, bo wieprzka cosi we chliwie rznie. — Józek nie wiele myślęcy, łap za ciupagę i dali do chliwa!

Zakiel wilcek chipnon stela, jus go Józek dobrze ciupagom zagrzoł, ledwie zywy ucik.

Ucieka se i myśli: — „Juz tego wieprzka chyba nie zjodem...”

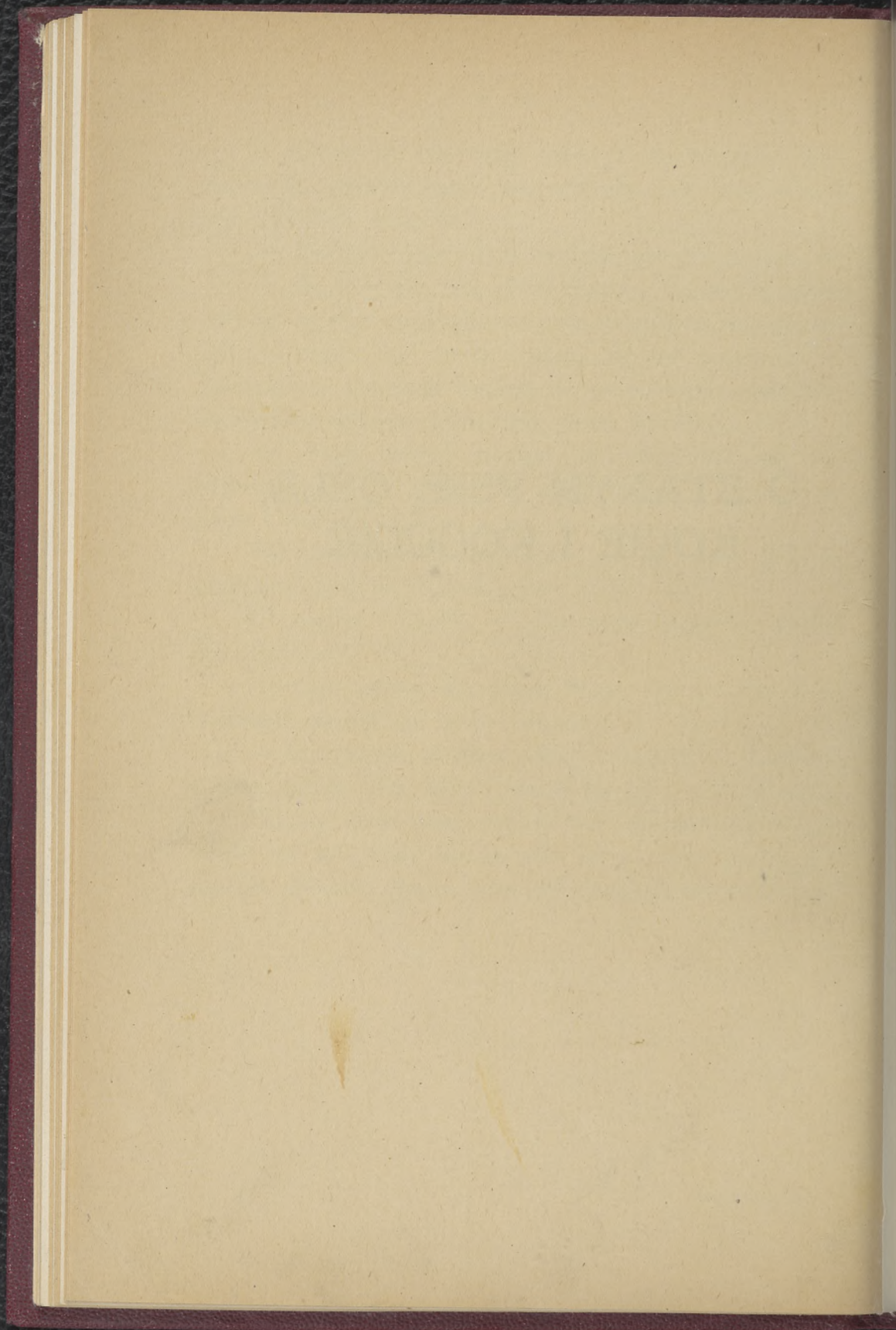
I prosto znowu ku Panu Bogu. Jak go Pan Bóg uwidzioł ozeźluł sie barz i pado:

— Co mi sie bedzies włocył ciegiem?... Chyboj, pókim dobry, niezdaro, i staroj się som o swój wikt.

Tak od tego casu wilcek tak chodzi i nijakiego wiktu nie mo, jako świnia abo krowa, abo przepytujem jak cłowiek, cheba co ta kany trafunkiem zarwie. —

929

O STARYM PSIE, OŚLE,
KOCIE I KOGUCIE.





O STARYM PSIE, OŚLE, KOCIE I KOGUCIE.





U jednego gospodarza był taki stary pies, co mu było Krucek. Nie bardzo już on ta mógł świnie ze szkody wyganiać, bo miał i zęby tępe i nogi sztywne, ino tak ta, sied se przed chałupom, drapoł sie po uchu i scekoł tak ta, aby zbyć, jak kto sed, abo wele dziecka małego kiele płachty lezoł.

Ale downi to był okropnie cięty pies, zwyczajnie zestarzoł się.

Jednego razu ten gospodarz pada do swoi kobiety :

— Jusby trza było tygo psa zastrzelić, bo stary, to już dobrze nie upilnuje. — A ten pies to słyszoł i myśli se: — Jakie to som ludzie nie dobre, styrołem se zdrowie na służbie, a tero chcom mnie zabić! —

Ze to i psu, życie miłe, tak nie wiele myślący, posed na wędę.

Ano, idzie tak i wędruje, spotkoł osła. Stary tyz był i ten osioł i boki miał okropnie obite.

Przywitali sie, pies zaro powiedzioł osłowi, co i jak, osioł znowu opowiedzioł mu swojom historyjom. — No, siułem zboze do młyna całe życie, po čtyry korce na

mnie kładli i kijem prali. Długie casy tagem pracował, ale nie downo przewruciłem sie do błota z workami mąki, bom ni móg dźwignąć. Ten mój pan okropnie mie sproł kołem z płota a potem, powiedział: — Trza go udusić jutro i skóre na bębny zołmirzom sprzedać, bo jus na nic. — Jutra nie cekołem, inom zaro na węder poseł.

— A to chodźmy razem, co dwie biedy, to nie jedna — powiedo pies, i śli razem.

Idom dali i spotkali kota, kaprawy beł ten kot i zagłodzunny.

Tak pies pyto:

— Gdzie to kumoterek tak wędrujom?

— Na węder wędruje, moiściewy, bo mnie z chałupy wygnali, ze jus mysy nie umiem łapać!

— No to choć z nami, co trzy biedy to nie dwie — i pošli razem. Niedaleko ušli, spotkali koguta.

— Kajze to kaj idom, pon kukuryku? — pyto pies.

— A na węder, panowie tyz pewno. —

— A ino. —

— To chodźwa razem.

I opowiedziol im kogut, że go gospodarze chcieli zarznąć na rosół, za to ze zapiol, oni zaceli ząć pszenice, a tu disc spod i pszenica porosła. Głupie ludzie, myśleli, że ja pieje na pogodę, a jo piol na disc. Nie cekający, zakiel mi gardziel przerzną, posedem na węder.

— A no to dobrzeście zrobili, bo za późno po śmierci wędrować.

— Chodźwa razem, co ćtery biedy to nie trzy — pado pies i pošli. — Jak jus beli daleko, daleko wešli w taki bór straszny i długo tem borem śli.

Noc się zrobiła i zobocyli, ze się kajś świci. Po-
deśli blizy, a to beła chałupka.

Tak se myślom, wartoby tom wstąpić, bo nom
się jeść chce. I uradzili tak. Niech kot idzie do cha-
łupy przez komin, kogut przez okno, ja drzwiami, a osieł
niech ceko na podwurzcu i patrzy, cy kto nie idzie.

I tak zrobili. —

Naroz wszystka trzech wpadli do izby, pies sce-
koł, kot miaucoł, a kogut kokodakoł.



A tam w ty izbie (to beła zbojecka chałupa) beła
tylo tako staro baba, co ją zboje z kajśik zabrali:
i miała niedobrze we głowie. Ona się nie zlinkła ino
pedziała tak:

— Kto mi rozkazuje temu usługuje. —

Tak uni zaroz ji rozkazali, żeby jem dała jeść.
Osła zawołali z podwyrza. Baba dała jem jeść, jak sie
należy, i posła spać do kumory. Tak oni zaceli redzić,

co zrobić, jak przydom zbóje (bo widać pošli na zbój) i uredzili. Kogut se siedzie na boncie w sieni, osieł sie układzie na łozku, kot w popiele na kuminie, a pies pod progiem.

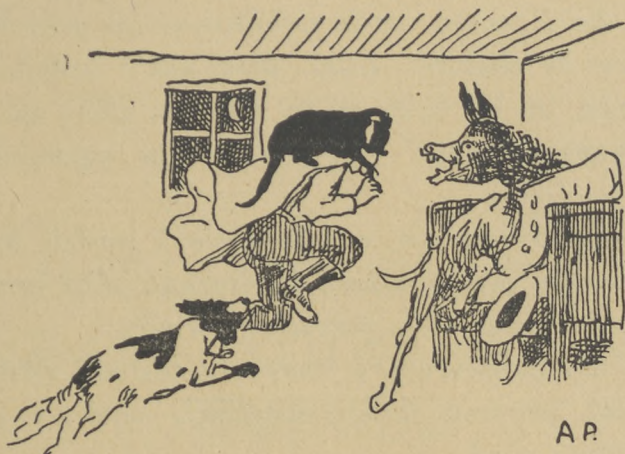
I tak zrobili.

Wedle północka przyšli zbóje, a béło ich dwunastu i jeden małuški na przykładkę, ale ze im się coś zdajało, ze ktoś jest w chałupie, tak posłali takiego, co beł najsurowsy, żyby zoboczył cy nima ziandarów. Un wzion do garści, taki wielgi piscelet i poseł.



Wlas do sini,.. nic, poseł do kumina zeby ognia ozdmuchać, a tu jak coś nie wrzaśnie (to beł kot), zasypało mu ocy popiołem, po pysku podropało. Tak ten zboj w nogi, mój drogi, ale zamiast do drzwi wpod na łozko, osieł tak zarycoł, co sie chałupa zatrzęśła, zbój znowu w nogi, wpod na psa, ten go hab za łydke.

Zboj do sini, kogut skoczył mu na łeb, i skrzydłami pierze, a dziobem po łbie štuko i zapioł. Wypod z cha-



A.P.

łupy, jak te zboje zobocyli, ze zmyko, tak wszystka jedności za nim w nogi, a ten dokładek na końcu.

Całom mile lecieli, zacem tego pirsego dogonili, a na małego to musieli długo cekać, bo ni móg zdążyć.

Dopiro jak odetchneni, tak pytajom co beło.

— Przysedem (pado ten jurny) do chałupy, ale ze beło ciemno, chciałem na kuminie ognia ozdmuchać. A tu jak nie skocy na mnie ciort, ino zawołał piekielnem głosem: mój! mój — Zasypoł mi ocy pieprzem tureckim, pysk mi podrapoł. Jo chciał uciekać do drzwi, alem od tygo pieprzu oślep, tak wpodem na łózko, tam lezoł sam lucyper taki kudłaty, jak on wrzasnon, to jaze we mnie dusa zamarła! Wnogi do sini. Przy progu beł taki djabeł, co mnie za noge złapoł zębami i zawołał łap! łap! W sini znowu jakiś antychryst skoczył mi na łep i zawołał: — Dejcie tu drugiiich! —

Jak jem to powiedział, tak uni se myślom tak: juz pewnie sie Panu Bogu nase grzychy sprzykrzyły i djablom kozol po nas isc, macie sie poprawic, bo bedzie zle i zaceni zaroz pokutowac za grzychy.

A w ty chałupie osiel, pies kot i kogut zyli se porzunnie, bo ta baba co to mówila: „Kto mi rozkazuje, temu usługuje” — dawala jem leguralnie jeść i pić!!

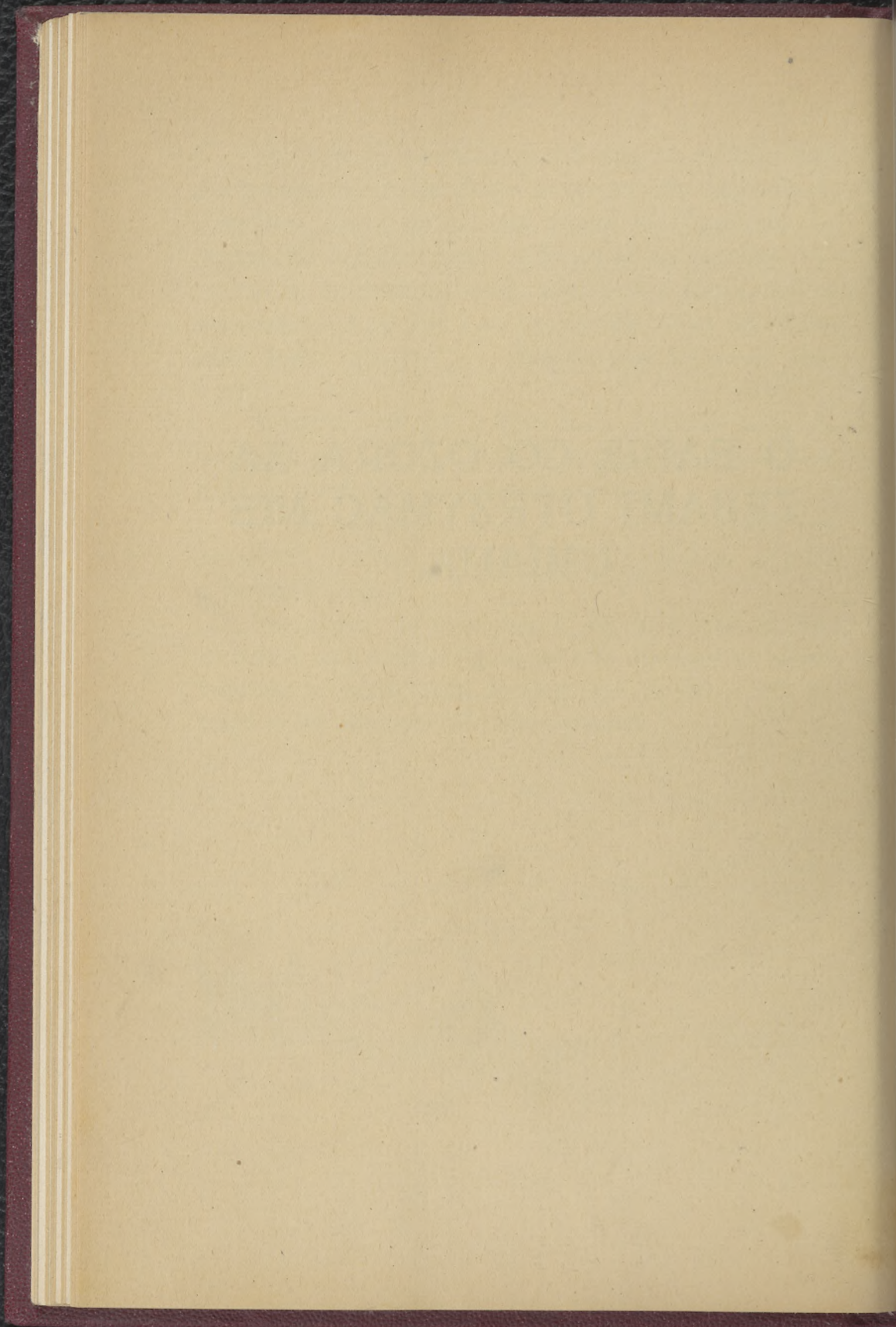
Znudzilo jem sie w tem lesie i poslali kota do wsi zeby sie przewiedziol, co slychac. Kot poseł, nie beło go trzy dni. Jak przysel, powiada:

— Oh moiściewy, z nasy wsi juz ani znaku, nie-przyjaciel przysed, ludzi pozabijoł, chałupy popolił, a lewentorz zjod.

Nie mozno teraz ozpoznac, kaj beła wieś, lo tego to ludzie som takie i lo siebie i lo stworzynia niemiłosierne, ze zmiłowania zodnego nie majom. I tak jus ostali w ty chałupie do samy śmierci.



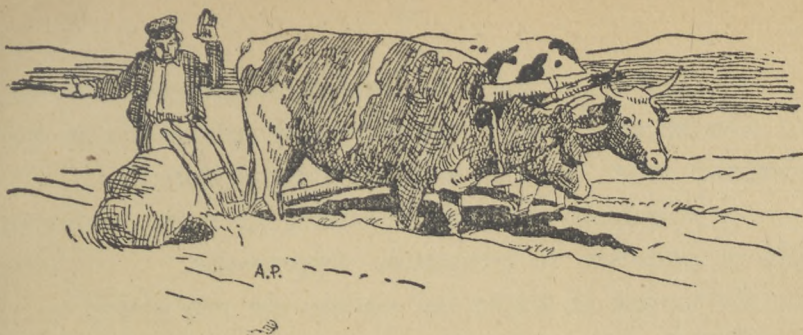
O BABIE CO OZORA ZA
ZĘBAMI UTRZYMAĆ NIE
UMIAUA.





O BABIE
CO OZORA ZA ZĘBAMI UTRZYMAĆ NIE UMIAŁA.





Orou se chuop pod ozimninę wouami takie pole, co na niem byuo duzo kemnieni. Uwadziuu puugiem o kemnień, a tu pod kemnieniem kociou piniendzy.

Prawie już byuo pod wiecór — tak ten chuop przykryu tem kemnieniem kociou — doorou do wiecora — jakby nic — bo się bou, ze go kto wypatrzy. Dopiro we wiecór po kolacyje — pado niby do swoji (a jego baba strześnie duzo gadaua ciągiem, co i gęba nie staneua), ze pódzie z wouami na dworskie pastwisko na cauom noc. — Ino pada, nie mów nikomu — tak ta baba uwierzyua.

Ón nabrou se worków, wzion wouy i poszeu w pole tam, gdzie byuy te piniendze.

Nabrou we worki, przywionzou na wouach, popas ich w rzecy troche i przyseu do dom po cichu, zeby baba nie suysaua.

Dopiro pomirzou ćwierciom te piniendze i scho-wou we stodole pod przycieś. Jak mirzou jeden dukat zuoty wpod pod obronckę o ćwierci, ale nie zobocyu.

Na drugi dzień ta baba na coś ćwierci potrzebowaua, tak zobacyua tego dukata za obronckom.

Tak bierze tego dukata i leci do chuopa swego i pokazuje.

— Coś ty, — pado — dukaty ćwierciom mierzou?
Ón se myśli tak: prendzy czy późni babie powiedzieć musi, — tak wzion i powiedziou ji.

— Ale pado nie gadój nikomu, bo nom odbierom, pole je panowe, to piniendze wyprawuje.

Za to juz ci kupie co chces, ale nie godoj.

Tak óna mu obiecneua, ale ón ta nie guupi byu babie wierzyć. Tak pojechau z niom do Kausyna, pokupiu ji różności, a potem pado do ni:

— Pódzwa do karcmy.



Tak pošli do karcmy, kozeu dać gorzouki i kieubasy, ale tam beuo kielka chuopów, tak jem mówi, zeby jego baba nie suysaua:

— Postawie wom dwie kwarty gorzouki, pijta ta pryndko i uciekajta. Tak óni tak zrobili, a baba się pyto:

— Co jem tak pilno?

— Abo — pada — pošli dziedzica gonić, ze pokrod śwynie.

Tak się baba zcudowaua ze to dziedzic śwynie kradnie.

Przyjechali do dómu, tak chuop wzion zajunca wsadziu babie do skrzynki a kupiuu w mieście u zyda karasiów i poprzywionzywou na śliwach w ogrodzie.

Potem poseu na dach zuapou gouębia, zarznou kozikiem, zeby krew kapaua kominem.

Przychodzi do izby, a tu baba mówi:

— Wies, cerwony disc padou.

— Nie dziwota, bo chmury przysuy od cerwónego morza. Potem — pado — schowaj te piniendze do skrzynki.

Baba idzie do skrzynki, otwiro a tu zajunc hip! Tak się baba jeszcze bardziej zcudowaua.

Chuop ji pado:

— Kiedy króle mogą sie mić pod wyrkiem i pod piecem, to cego zajunc, nie mo się mić we skrzynce.

Baba juz tak ubem krynci, co ozora w gębie utrzymać nie moze, ale nic.

A ón pada:

— Wies co?... tak me poli we wnotrzu od gorzouki, co my pieli w Kauusynie!... idź do sadu, przynieś mi pore śliwek.

Tak óna posua, ale juz wiency nie psysua, bo jak zobacyua karasie na śliwach, tak sie o mało nie przewróciua, potem skocyua bez puot i poleciaua na wieś i zacena wszystko opowiadać — o tych piniendzach o tych karasiach, o tem cerwonem discu i o tem za-

juncu we skrzynce. Ino o tem dziedzicu nie godaua. Lotaua bez cauom noc az na drugi dzień do pouednia i prec godaua, dopiro jak ji geba spuchła przysua do dom.

Dowiedziau sie dziedzic we wsi, ze chłop pinien-dze naloz, tak posuou do niego lokaja, zeby zaroz przyseu do dworu.



Rod nie rod poseu ten chuop do dwora.

Jak przyseu, tak dziedzic do niego zaroz:

— Cyj gront — pado — mój cy twój?

— A juści z przeprosyniem jelemoznego dziedzica, niby poprzudzi boski, a potem pański.

— Kiej gront je mój — pado dziedzic — to i pi-niendze, coś naloz — pado — moje.

— Jakie piniendze z przeprosyniem jelemoznego dziedzica?

No te piniendze coś naloż.

Jo z przeprosyniem jelemoznego dziedzica zodnych piniendzów nie naloż.

— Nie użyj — pado — chuopie — niby dziedzic — bo przecie twoja baba wcoraj bez caua noc ataua i godaua, ześ piniendze wielgie naloż.



— Niech jelemozny dziedzic nie suucho, co óna plecie, bo óna je guupia, nie dobrze ma we guowie z przeprosyniem niby jelezmoznego dziedzica.

Tak dziedzc kozeu lokajowi, zeby przyprowa-
dziou te babe.

Tak lokaj zaroz babe przyprowadziou.



Dziedzic pado:

— No godoj co, jak i kiedy byuo, jak twój chuop
te piniendze naloz.

Baba pado:

— Prosem się uaski jelemoznego dziedzica, to
byuo rychtyk, jak ten cerwony dysc padou.

— Jaki dysc? pado dziedzc.

— Ano cerwony dysc, z przeprosyniem jelemo-
znego dziedzica.

Tak dziedzc se myśli: coś ta baba cheba guupio,
ale ón pyta znów.

— No co byuo, jak byuo, godój!

— Prosem sie uaski jelemoznego dziedzica, to
byuo akurat, jak sie u nas we skrzynce zajunce miauy,

i jak sie karasie na śliwce pluskauy z przeprosyniem niby jelezmonego dziedzica.

Tak dziedzic se myśli: widać ze ta baba mo caukiem ueb przekrencony, ale ze beu chuop wesouy, niby ten dziedzic — tak go to bawieuo, ze ta baba takie baje osmolóne plecie, tak pada:

— Godoj wszystko, bo cie koze zerznąć batem!

A baba pado:

— Prosem sie uaski jelemoznego dziedzica tego juz nie powiem.

— Cego? godoj!

— O ty śwyni jelemozny dziedzic wiedzóm.



A.P.

— Juścić wiem — pada, (bo mu pore dni temu kormnom maciore ukradli).

— Ha, no kiej tak, to juz powiem: to byuo, z przeprosyniem jelemoznego dziedzica, tego samego dnia, jak niby jelemozny dziedzic śwynie ukrod, a chuopi go bez Kausyn gónili.

Juz beuo i dziedzicoju za duzo tego, ozgniewou sie i kozeu babe lokajom dobrze obiĆ, zeby takich guupstw na niego nie gadua i pado do tego chuopa :

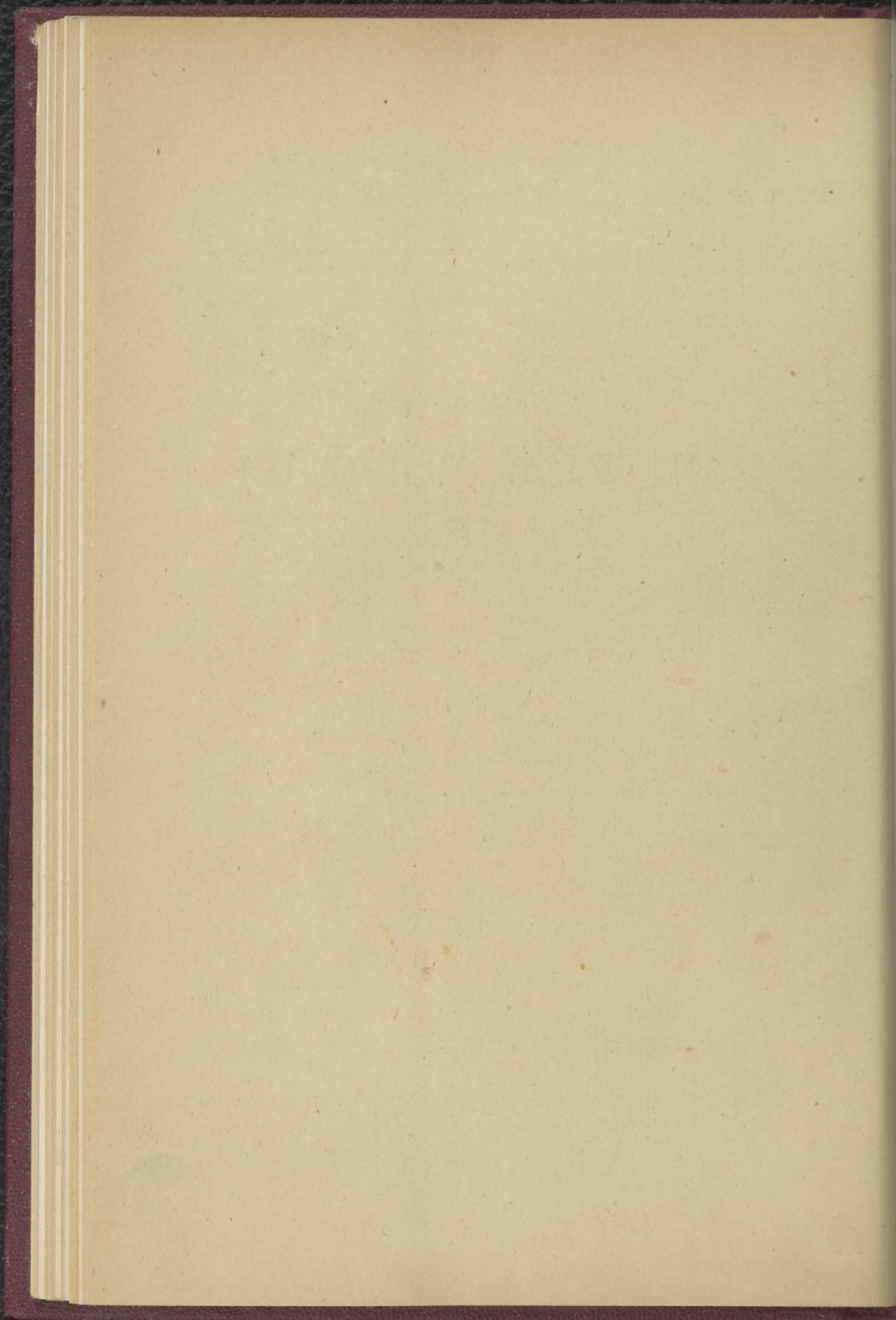
— No — pado — mas babe co mo karasie na śliwach, a kieubie we ubie.

A douóz — pado — tam babie w domu jesce lepsi.

I tak te piniendze chuop se uratowou.

67

NOSIŁ WILK, PONIEŚLI
WILKA.





NOSIŁ WILK, PONIEŚLI WILKA.

LIBRARY
UNIVERSITY OF
TORONTO



Było to w takim kraju, w którym porządnym ludziom i uczciwym było źle i gnili po kryminałach, a złodzieje i bandyci chodzili sobie wesoło po świecie, kradli i mordowali. Żył tam jeden biedny człowiek, który za cały majątek miał żonę, wołu i cielę, jak to się stało, że nie miał krowy, a miał cielę, tego już nie wiem, dosyć że tak było.

Trza było płacić podatek, a tu pieniędzy niema. Więc rada w radę ze żoną, postanowili sprzedać wołu. Zawiązał tedy sznur na rogi i powiódł wołu na jarmark.

Na jarmarku obkoczyli go zaraz tacy złodzieje tamtejsi i pytają:

— Wiele chcesz za to cielę?

— Przecie to nie cielę ale wół — odpowiada — a ceni się 60 rubli!

— To ty musisz być źle myślący, kiedy śmiesz nam przeczyć, kiedy my mówimy, że cielę, to cielę, a jak ma być wół, to pójdziesz „w część“.

Bo tam były też „części“ ¹⁾.

¹⁾ Urząd policyjny.

Tak on sobie myśli — no cóż tam wesołego w tej „części“, panowie mordę pobiją i do kozy wsadzą, widzi, że nie ma rady tak mówi:

— Moi kochający panowie, kiedy już mówicie że to cielę — i niby względem tej „części“ — to niech już będzie cielę ale takie duże cielę jak wół.

— Co ty, taki synu, sobie myślisz, chcesz nas oszukać, to zwyczajne cielę, małe, jeszcze do tego, nie warte jak trzy ruble. No jak sobie chcesz, albo „część“ i mordobicie, albo to jest małe cielę.

— Ha! no kiedy, kochający panowie, kiedy już tak już uchwalili, to niech będzie małe cielę.

Tak oni zapłacili mu za tego wołu trzy ruble i zabrali.

Doszedł do domu, płacząc, myśli sobie: może ja rzeczywiście wziąłem cielę na targ albo co...

Przyszedł do domu, zajrzał do obórki, cielę stoi, źle, przepadł wół, a pieniędzy na podatek nie ma. Bał się żony, ale nie było rady, powiedział jej wszystko. Ona się na niego nie rozgniewała, bo widziała że było trudno inaczej zrobić, ale uchwalili, że kiedy przepadł wół, niech przepadnie i cielę, postanowili, że jutro zaprowadzi na targ cielę.

Idzie nazajutrz na jarmark, a tu przychodzą ci sami panowie i pytają:

— Co chcesz za to cielę?

— Przecie to wół nie cielę, a ceni się 60 rubli.

— Co ty, gołąbku, rozum straciłeś i chcesz się za kłamstwo do kryminału dostać, przecie każdy widzi jak wół, że to jest cielę.

— No, jeśli tamto wczorajsze było cielę, co panowie kochający kupili, to może to dzisiejsze jest wół?

— Eh ty!... my ciebie zaraz! Masz trzy ruble, ale musisz nam wódki zafundować jeszcze, bo cielę małe, ale my już takie wasze dobroczyńcy. My teraz zaprowadzimy to cielę do rzeźnika, a ty tu czekaj, to nam dużo wódki kupisz!

Tak on pomyślał chwilkę i poszedł do kapelusznika i kupił sobie taki amerykański kapelusz, za pół rubla, a potem poszedł do trzech szynków i w każdym dał rubla i prosił, że jak on tu z panami przyjdzie i wódki postawi, to jak już będzie za rubla wypite, machnie tym amerykańskim kapeluszem a szynkarz albo szynkarka odpowie: „dziękuję, już zapłacone“.

Jak wychodził z trzeciego szynku, spotkał tych panów i zaraz poszli pić.

Pili w jednym szynku za rubla, tak ten człowiek machnął kapeluszem amerykańskim, a szynkarka powiada:

— Dziękuję, już zapłacone!

Oni się trochę zdziwili, ale nic. Jednak, gdy tak samo było w drugim i trzecim szynku, tak owi panowie mówią:

— Dawaj nam ten kapelusz!

— Ach! dałbym go chętnie moim dobroczyńcom, ale jak tego kapelusza regularnie nie kupić i nie zapłacić, to na nic.

— A czy można tak wszystko płacić, choćby i sto rubli. —

— A jakże, moje kochające panowie.

Tak oni pytają co chce za ten kapelusz.
— 500 rubli!

Targ w targ wytargowali za 497 rubli i 35 kopiejek i kapelusz zabrali, a on drała do domu z pieniędzmi. Jak przyleciał, tak powiada do żony:

— Masz tu pieniądze, schowaj dobrze a ja będę umarłego udawał. Ty weź ten tłuczek od świńskich kartofli i jak ja będę leżał za umarłego, to ty będziesz mnie tym tłuczkiem szturgać tu i owdzie, niby że to taki „tłuczek zmartwychwstałek” że jak mie trafisz w dobre miejsce to wstanę. —



Ledwie zdążyli wszystko urządzić, a tu lecą ci panowie, bo im kazali za szampańskie zapłacić i ten kapelusz nic nie pomógł. —

Tak jak przylecieli, patrzą a tu człowiek leży na słomie niby umarły, a żona go tłuczkiem tu i owdzie szturga.

Oni pytają co to znaczy.

— Oj, moiściewy dobrodzieje, umarł mi mąż i przed śmiercią mi powiedział, żebym go tym „tłu-

czkiem zmartwychwstałkiem“ szturgąła, to on wstanie, jak go trafię w dobre miejsce, oj nieszczęśliwa ja sierota! — i dalej baba tłuczkiem szturgą.

Jak go dobrze zajechała w słabiznę, tak niby to zmartwychpowstał, ogląda się, niby się dziwuje. A ci panowie całkiem pobaranieli. Myślą sobie, co tam kapelusz, jak kapelusz, ale ten „tłuczek zmartwychwstałek“ to jest interes...

Tak powiadają:

— Dawaj nam ten tłuczek, to ci już ten kapelusz darujemy!

— Oj, moi panowie dobrodzieje, dajcie mi choć ze trzy tysiące rubli, to mi będzie krzywda! —

Tak oni mu dali dwa tysiące za ten „tłuczek zmartwychwstałek“ i polecieli.



A dla tego polecieli, że wiedzieli, że tam niedaleko umarł taki emeryt, co miał sto tysięcy emerytury, a żona po nim toby dostała tylko 3 ruble 50 kopiejek

na miesiąc, tak sobie myślą, jak ten emeryt wstanie to żona nam da, co będziemy chcieli. Tak przylecieli zadyszani z tym tłuczkiem, do tej wdowy, ona udawała że żałuje męża, a ona żałowała żałowania ¹⁾. Tak, mówią jej tak i tak. Ona powiada:

— Jak mój mąż wstanie, to dam wam 50 tysięcy rubli.

Dawaj oni tego umarłego emeryta tłuczkiem międlić, a że był stary, bo miał blisko sto lat, miętkiego był ciała i już był skruszały, więc co tłuczkiem szturgnął, to skóra na emerycie puszcza.

Zupełnie zrobili z niego bity kotlet a on nic! Spocili się z tego szturgania i ze strachu, że ten nie wstaje.

Tak ta emerytka kazała lokajom przetrzepać ich dobrze batami i won wygnąć. Oni w te pędy lecą do tego, co im tłuczek sprzedał i powiadają:



— A ty złodzieju, znowuś nas oszukał, już teraz śmierć twoja! — Wsadzili go do beczki i zabili dno,

¹⁾ Pensya.

i potoczyli do rzeki, topić! Ale już nad samą wodą, przypomnieli sobie, że przez ten czas baba gdzie pieńdże schowa (te 2497 rubli i 35 kop.) i wrócili się do chałupy. Ale baba nie głupia, dobrze się z pieńdzmi schowała, a kazała powiedzieć, że uciekła do lasu. Tak oni do lasu za babą.

Tymczasem ten człowiek siedzi w beczce i myśli sobie: no teraz to już kaput!

Ale słyszy, że ktoś jedzie i dużo koni prowadzi: tak zaczyna się drzyć w niebogłósy:

— Królem mnie chcą zrobić, a ja nie chcę, kto mię zastąpi, królem zostanie. Akurat jechał koński złodziej z kradzionemi końmi. Myśli sobie, co mi ta dyabli konie kraść, wolę być królem.

Przychodzi do beczki, odbija dno i powiada:

— No wylaż — ja chcę być królem.

Ten z beczki hyc, a ten do beczki hyc, dno za-
bił, siadł na wóz i pognał z końmi do domu.

Te złodzieje nalatali się za babą po lesie, ale szukaj tam wiatru w polu, kiedy baba pod osłoną w stodole. Więc mówią:

— Chodźmy tę swołocz utopić.

Przyszli i machnęli tę beczkę z końskim złodzie-
jem do rzeki. Beczka była dziurawa, to też prędko poszła na dno, a oni nie wiedzieli, że kamrata utopili.

No kamrata, bo oni też byli złodzieje. Idą do domu smutni i pomęczeni, przechodzili koło chałupy tego człowieka — patrzą a on chodzi po podwórzu i konie obrządza, a baba na ladzie sieczkę rznie.

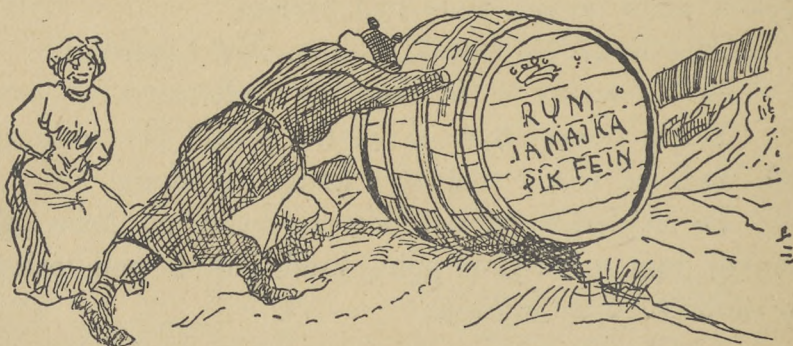
Tak znowu na piękne pobaranieli i pytają co i jak: — przecie my cię utopili dopiero co.

— Oj moi dobrodzieje, chciałbym, żebyście mnie codzień topili — jakem tylko wpadł do rzeki, a tu łąka taka piękna, a na niej tyle koni co niemiara. Tak wziąłem sobie tylko te dwanaście, bo mi pilno było i tu przyprowadziłem.

A oni że wszystko wiedzieli, a miał być wielki „podrad” ¹⁾ na konie do wojska — tak mówią:

— To ty nas do beczki zaraz pakuj i do rzeki wrzuć!

— Przecież panom dobrodziejom moim nie mogę odmówić tej przysługi, ale żeby panom przez te chwilę było przyjemnie, to wezmę beczkę od araku, żeby pachniało.

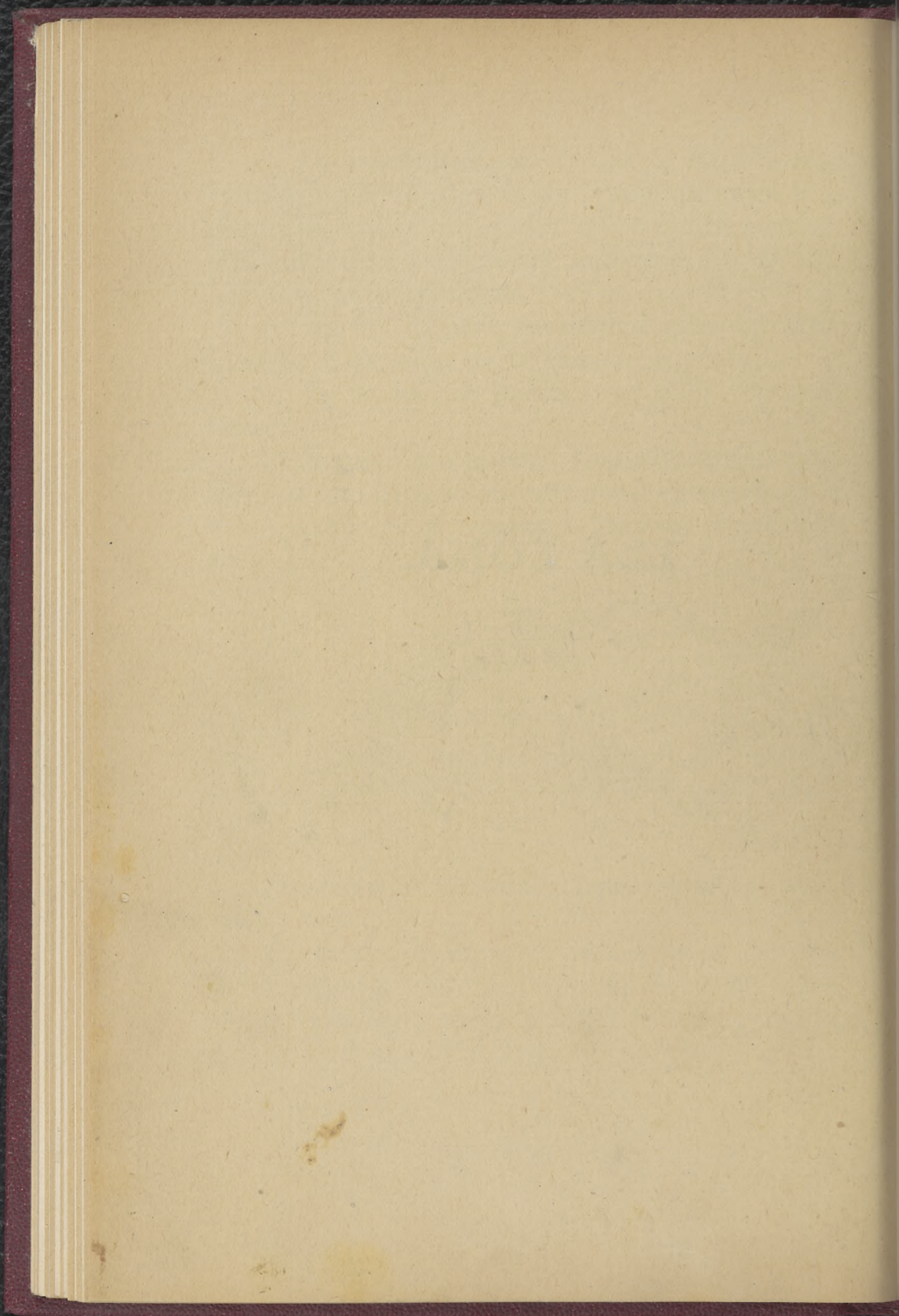


Zapakował w beczkę i potoczył do wody i hulaj! szukać koni.

No, potem ten człowiek, był już bogaty, bo sobie dorożki założył i jeździł na gumach z ładnymi kawalerami i ładnymi pannami a nawet hrabiom pieniędzy pożyczał i dobrze żył i długo żył i koniec.

¹⁾ Dostawa.

ZŁA ŻONA.





ZŁA ŻONA.

BRADY & CO
BN
1887



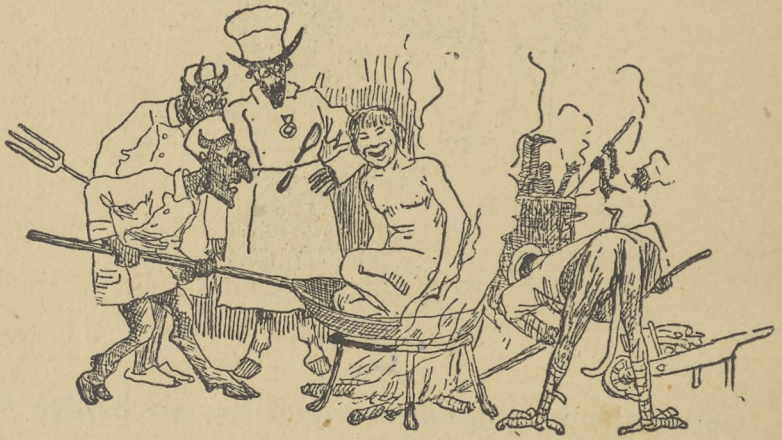
Jeden młody gospodarz ożenił się, ale bardzo źle trafił. Choć jego żona była bardzo piękna, ale taka bałamutnica, że ani dnia, ani nocy spokojnej nie miał, ciągle tak strasznie mu dokuczała, że nie mogąc dłużej znieść męczarni powiesił się na krótkim postronku wysoko, na suchej gałęzi. Za to, że sam się życia od Pana Boga danego zbawił, poszedł do piekła a jego ciało krucy dziobali.

Jak tylko się w piekle znalazł, odetchnął, najprzód dla tego, że jak się wieszał, to sobie grdykę bardzo ścisnął postronkiem, a potem że już był od żony daleko i będzie miał spokój — nawet tak mu się zrobiło wesoło, że się śmiać głośno zaczął pokrzykiwać: oj dana, moja dana!

Djabli przyzwyczajeni do zgrzytania zębami i do płaczu, bardzo się zdziwili, zobaczywszy takiego dziwaka co się w piekle śmieje i pośpiewuje.

— Poczekaj hyclu, zobaczysz jaki to u nas śmiech.

Biorą go tedy na patelnię i dawaj smażyć! Ten nic, śmieje się.



Tak oni se myślą, pewno go na patelni za mało piecze, wzięli go do kotła z gorącym olejem. A on się precz śmieje i pośpiewuje: oj dana, moja dana!

Djabły miechami dmą na ogień pod kotłem, pazurami podgarniają zarzewie, olej aż pryska, a ten śmieje się ciągle.

Tak jeden djabeł pyta go:

— Czegoś ty durniu taki wesoły, wszyscy tu zgrzytają a ty nie?

— Eh! — powiada ten wisielec — już wy mi z całym piekłem nie potraficie dokuczyć, jak moja żona na tamtym świecie mi dokuczała, a bo mi to

tu źle... oj dana, oj dana! Tak te djabły zawołały starszego i powiadają tak i tak.

Starszy pomyślał, brodę se żelaznemi pazurami czesał, het myślał, a wreszcie powiada:

— Ha no, kiedy tak, niech idzie do drwalni do posługi; to jakiś morowy chłop, w takim oleju gorącym inny jużby był kruchy jak szynka, a temu nic.

Ale trzebaby tę babę zobaczyć i coś się od niej dowiedzieć, bo to musi być morowa baba i możeby można zaprowadzić jakie reformy, nuż się jeden, drugi taki trafi, no i będzie kompromitacja. Panowie! powiada: trzeba być postępowymi a nie zaśmierdziałymi konserwatystami — który z panów pójdzie zbadać system tej baby?

Dużo było ochotników, stali wszyscy i trzymali ręce w tem miejscu, gdzie jest szew od spodni (tylko im spodni brakło) i patrzyli na starszego jak sroka w kość.

Tak on powiada:

— No dobrze dzieci — pójdzie do baby na zwiady — najsprytniejszy jest ten Szalamajtys — niech on hyba.

Szalamajtys tylko fiknął kozła przez łeb i już go nie ma, już na podwórzu u baby, przebrany za parobka — Krótko i węzłowato zgodził się do baby na służbę.

Z początku nic. Baba piękna i grzeczna a słodka jak piernik toruński. Tak dogadzała temu djabłu, że aż ha!

Tak on sobie myśli: co tamten dureń sobie myślał, toż to baba jak miód. Aże się djabłu okrutnie

podobała, tak sobie myśli, kiedy już tak, że mam urlop, to się z babą ożenię. A że babie się bez chłopa też cniło, tak nie wiele myślący, pobrali się.

W tej chwili jak się pobrali, babę jakby odmieniło. Dopiero djabeł przekonał się, co to za smak. Pokazało się że to jest wściekła sekutnica, że nie jeden, ale cały regiment djabłów by nie wytrzymał. Tak umyślił drapnąć, ale że mu było żal, zaraz iść do obowiązku i przysmażać durniów w oleju, tak namówił sobie skotaka od tej baby, żeby z nim umykał.

Tak ten skotak powiada:

— No dobrze uciekajmy, ale co będziemy robić?

— To już w tem moja głowa, het ci rozpowiem a teraz drała — i uciekli.

Jak już byli dość daleko, tak se siedli pod rosochatą wierzbą i djabeł powiada:

— Robić, powiada, to tam byle bałwan potrafi, chodzi o to żeby zarobić, a nie narobić się. Ja będę po dworach straszyl, bo to lubię i to nie jest żadne zajęcie, a ty będziesz strachy wyganiał, szlachta ci za to będzie płacić, będziemy się dzielić i dobrze żyć.

— A no dobrze — powiada skotak — i poszli straszyc i strachy wyganiać.

Zaraz w pierwszym dworze, djabeł schował się na strych i zaczął wydziwiać. Łańcuchami brzęczał, garnkami ciskał, jęczał, stękał, pierzyny ścigał z łóżek i tym podobne okropne rzeczy wyprawiał.

Okropnie się we dworze powylękali. Dopiero ten parobek, niby podróżny zdaleka przychodzi do dworu. Wszyscy opowiadają mu, że tu okropnie straszy, a on

niby tak niechący powiada, że onby tego stracha wypędził.

Zaraz donieśli temu dziedzicowi, że taki człowiek znający przyszedł. A że państwo spazmowali w pokojach na kanapie ze strachu, więc ten szlachcic powiada:



— Sto rubli dam, tylko wypędź stracha, bo mi aż nie dobrze.

I zaraz mu dał sto rubli i dwa złote na piwo. Parobek poszedł na strych a tam za kominem siedzi djabeł i łańcuchami brzęka.

— No chodź już chodź, bo dali sto rubli — powiada parobek.

— Dobra nasza! — krzyknął wesoło djabeł i chlusiął odrazu przez dymnik na drogę i schował się

w krzaki. Parobek potem spotkał się z nim i podzielił się, każdy miał po 50 rb. i po 15 kopiejek. Djabeł swoje przepił zaraz z chłopami w karczmie przy drodze, aby ich dusze pogubić, to te zaraz się pobili i jednemu chłopu żonatemu łeb rozbili, że umarł bez spowiedzi. Ale parobkowi się to nie podobało i postanowił się jakoś djabła pozbyć, bo był dobry katolik.

Jak tylko już i te 15 kopiejek djabeł przepił z chłopami, tak powiada do parobka:

— Chodźmy, trzeba znowu co bez pracy zarobić!

Był bardzo bogaty dwór niedaleko, tak poszedł straszyc.



— A ty — powiada do parobka — czekaj długo i targuj się, za byle co strachów wypędzać nie podejmuj się, bo tu mogą zapłacić 100.000 rubli. Jak wziął djabeł wydziwiać w tym dworze różne komedyje,

tak się wszystko w domu ze strachu pokotłowało. Pani była młoda, więc ze strachu jak złapała męża za szyję, tak nie chciała puścić przez trzy dni, tylko piszcziała cieniutko, po francusku. Pan chytry był, nie bardzo się bał co prawda strachów, ale mu się sprzykrzyło to żonine piszczenie, tak powiedział:

— Dałbym 10 tysięcy rubli, żeby mi kto te strachy wypędził.

Zaczęli o tem gadać ludzie we wsi i doniosło się do parobka, tak on znowu nieznacznie tak się wygadał, że on umie strachy wypędzać. Zaraz hala do dworu i opowiedzieli panu — on się ciągle pytał co, jak, bo nie mógł zrozumieć, przez ten żonin pisk. Dopiero jak zmiarkował powiada:

— Niech przyjdzie ten, co wypędza strachy, tak jak powiedziałem, tak dam.

Więc parobek przyszedł do pana, pan się pyta:

— Umiesz podobno wypędzać strachy?

— Umiem panie.

— Napewno aby?

— Całkiem na pewno.

— No, to rób swoje, a ja ci dam 10 tysięcy rubli.

Tak parobek poszedł na strych i znalazł djabła za kominem i mówi do niego:

— Chodź już, dosyć strachów, ten szlachcic daje 10 tysięcy rubli, bo mu już tego pana żal było, że ta jego żona tak go trzymała za szyję i w samo ucho piszcziała ciągle. Więc ostro do djabła powiada:

— Ja z gęby cholewy dla ciebie kondlu robił nie będę, wynoś się stąd!

Djabel jeszcze gorszy harmider wyrabia i powiada:

— Ani grosza mniej, jak sto tysięcy. Tak parobek sie zmartwił, ale idzie na dół i myśli, co tu robić. Pan czekał na niego, pani przy nim piszcząca, też. Pan pyta:

— No i cóż, jakoś ciągle straszy.

— A bo to jakieś twarde — i w tej chwili przypomniała mu się ta baba, co to djabeł od niej uciekł. Muszę pójść po takie ziele, co przed niem strach ustąpi, niech pan szlachcic jeszcze trochę poczeka.

— Aby tylko nie długo, mój kochany człowieku, bom już prawie ogłuchł od tego pisku... to jest od tego straszenia.

Tak parobek poprosił szlachcica o bryczkę i parę koni, żeby było prędzej to ziele. Pojechał do tej baby i powiada jej tak:

— Widzi pani, ten gospodarz, co się pani z nim ożeniła, to jak uciekał namówił mnie, abym z nim uciekł, ale to jakiś pijak z piekła rodem — więc teraz ja żałuję, że gospodynię opuścił, a jak chcecie to was zabiorę, gdzie on jest.

— A gdzie on jest, ten mój mężulek?

— A tu niedaleko we dworze, pijany na strychu leży.

— A to jedźmy prędko, — mówi gospodyni takim głosem, że już pod parobkiem nogi zadygotały. Więc pojechali.

Jak przyjechali do dworu, było już ciemno — tak powiada ten parobek:

— Niech się gospodyni odzieje dobrze z głową w chustkę i cicho idzie, bo jakby mężulek poznał, toby drapnął.

Tak ta gospodyni, tak cichutko idzie za parobkiem na strych, dopiero usłyszała, jak tam djabeł wydziwiał.

— A to się szelma schłała — pomyślała sobie — poczekaj hyclu, dam ja ci, żebym tak jutra nie do-czekała!



Dopiero jak zrzuci chustkę z siebie, jak skoczy do tej dziury, gdzie djabeł siedział. — Jak ją zobaczył, zapomniał o wszystkim, tylko się odwiódł i rogami w gonty, dziurę w dachu wybił i uciekł po prostu do piekła. Babę wyniosło za nim, no i cicho. Dopiero parobek idzie do pana szlachcica i mówi:

— Proszę pana już gotowe, strachów niema, tylko pan każe dach na pałacu naprawić, bo główny strach uciekł przez dach.

Więc pan wyjął z pularesu 10 tysięcy rubli i po-wiada:

— Uratowałeś mi życie, masz, żeby tak jeszcze dłużej żona mi w ucho piszczała, tobym sobie w łeb kropnął z pistoletu.

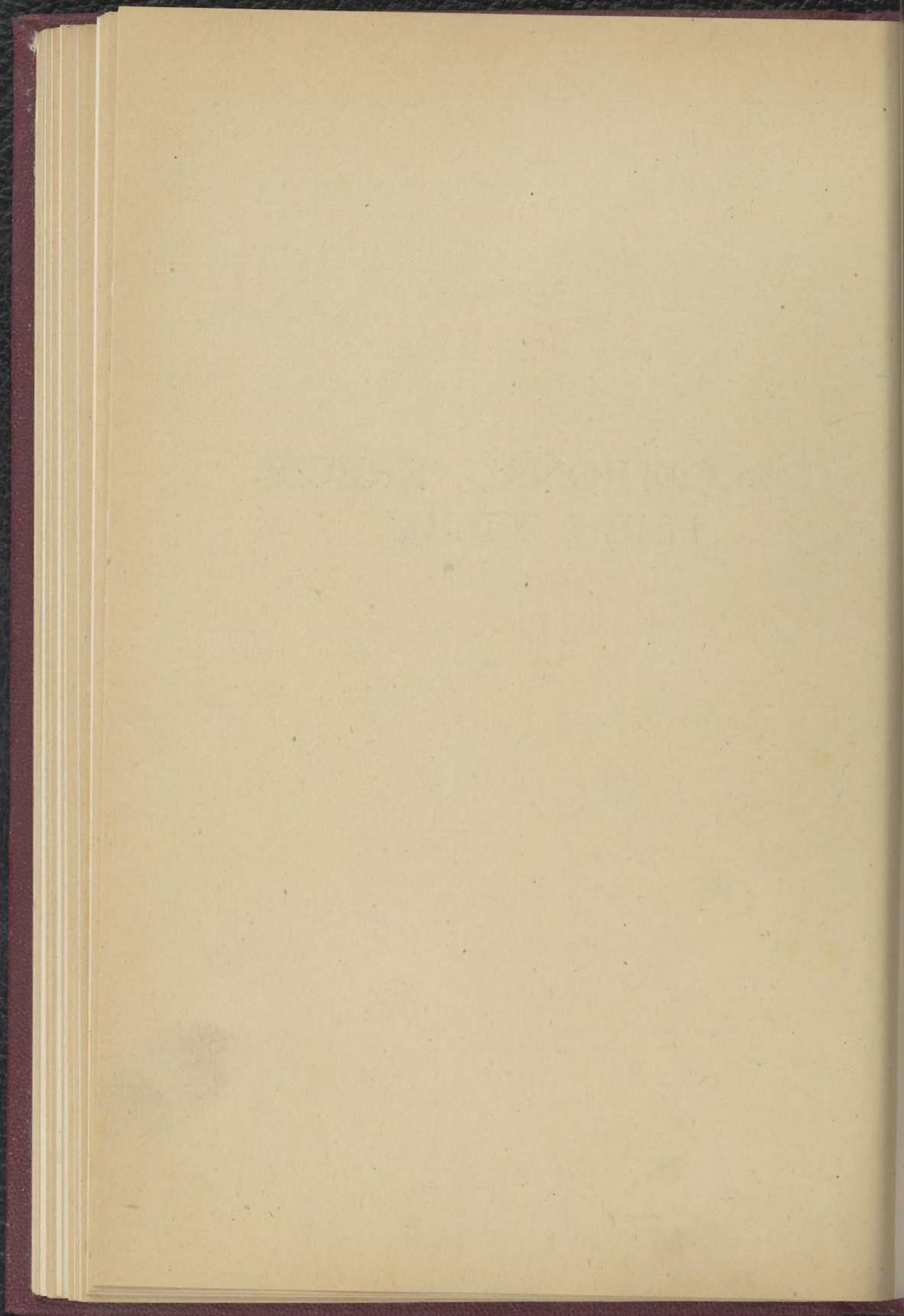
Więc parobek pięknie podziękował, ale powiada:

— Możeby pan szlachcic jeszcze co na piwo przyrzucił?

Więc ten pan dał mu jeszcze pięć rubli.

Parobek kupił sobie porządną kolonję, ożenił się z niemową głupkowatą, a te pięć rubli dał na wotywę.

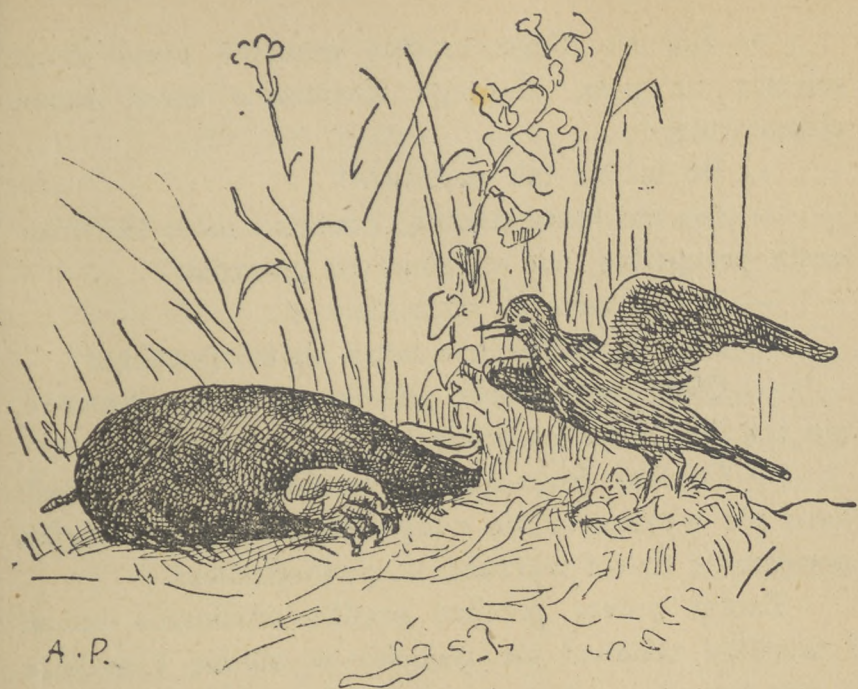
O SKOWRONKU, KRECIE,
PSIE I WILKU.





O SKOWRONKU, KRECIE, WILKU I PSIE.





Miał sobie skowronek gniazdko na zagonie, na którym porastało gęsto żytko, bławatki, kąkol. Ostróżka pięła się po źdźbłach żyta i rozpuszczała fioletowo-pąsowe strąki kwiatów i po ziemi czołgał się biały powój, który bardzo pięknie pachniał. W takim otoczeniu ogromnie było skowronkowi i skowronczynie miło siedzieć, na przemian, na gniazdku, gdzie się wykłuło z jajeczek czworo skowroncząt.

Ale cóż; jednego razu przykrośkał się czarny kret z ogromnymi rękami i małutkimi oczkami do skowronka i powiada:

— Wynoś się z temi bachorami, z tego miejsca, bo ja tu muszę akurat, w tem miejscu wykopać dziurę!

— Bój się Boga krecie! przecież masz dosyć miejsca na polu, dlaczego koniecznie masz kopać akurat tutaj?

— Bo mi się tak podobało!

— No ale zastanów się, przecież moje skowronczęta przepadną, jak mi zburzysz gniazdko?

— A cóż mnie to obchodzi!

— A żeby ci tak kto twoje dzieci pozabijał?

— Oho! moje dzieci, głęboko w ziemi schowane, nie tak jak twoje na wierzchu.

— Co tam długo gadać, nie mam czasu — i jeśli jutro nie wyniesiesz się z tego miejsca, to ci wszystko porujnuję i dzieci wyrzucę — powiedziałem.

Zaczął potem grzebać prędko wielkimi łapami i wkrótce schował się głęboko w ziemię i gadajże z nim teraz!

Więc skowronek ze skowronczyką zasmucili się bardzo, zaczęli radzić co począć i tak uradzili, że trzeba poszukać pomocy.

Wzbił się więc skowronek wysoko i dzwoniąc swoją piosneczkę na smutną nutę, patrzył z góry czy nie zobaczy kogo, coby pomógł.

Zobaczył leżącego wilka w krzakach. Spuścił się więc z pod niebios, na ziemię i stanął koło wilkowego ucha i powiada:

— Wilczku! możebyć mnie w nieszczęściu zratował?

Wilk był rozespany z głodu, więc trząchnął uchem i mruży:

— Ki ta dyabeł mnie budzi?

— To ja skowronek.

Dopiero wilk się trochę obrócił — zobaczył skowronka i powiada:

— Czegoż ty pędraku się swędasz i budzisz mnie?

Dopiero skowronek opowiedział mu, co i jak z tym kretem.

Wilk na to odrzekł:

— Wszystko to bardzo pięknie, ale mi się żreć chce okropnie i na głodno ani myślę pracować dla ciebie. — Daj mi zryć co nie bądź, albo barana albo jałówkę, to jak podjem, to zobaczymy co z tym kretem zrobimy.

— Bój się Boga wilku, a skądże ja ci wezmę barana albo jałówkę?

— To już twoja rzecz, a teraz wynoś się, bo mi się spać chce — jak będziesz miał co do zjedzenia, to mnie obudź.

Przewrócił się na drugi bok i chrapnął.

Biedny skowronczyna myśli sobie, skąd tu temu wilkowi wytrzasnąć żarcia — wzbił się więc w górę i świergocząc patrzył, czy gdzie czego nie zobaczy.

Aż spostrzegł że w jednej wsi tuż blisko odbywa się wesele, słychać było basy i skrzypce i pokrzykiwanie bab grubsze, a dziewczek cieńsze.

Z komina chałupy okrutnie się kurzyło — pewno co gotowali. Ano myśli sobie, trzeba zobaczyć zblizka. Podleciał blisko, aż tu zapach okropnie niemiły gotowanego spieczonego mięsa go zaleciał, (bo skowronki mięsa nie jedzą ani piezonego ani gotowanego tylko surowe robaki) więc myśli sobie: wilk by tu podjadł rzetelnie, ale jak zrobić?

Pomyślał chwilę i rzekł do siebie:

— Już wiem co zrobię!

Pofrunął więc prędko do wilka — obudził go i powiada:

— Wilku! jest jedzenie!

— Gdzie? dawaj!

— No, tak znowu zaraz nie można. — I opowiedział wilkowi, o tym chłopskim weselu.

— Zróbmy tak: ty się schowasz w ogrodzie w krzakach przy chałupie, a ja cię zawołam jak będzie czas.

Wilk powlókł się miedzami i rowami ku chałupie, a skowronek poleciał prosto do chałupy, a że okno było otwarte, wleciał do izby, gdzie właśnie goście weselni jedli krowę pieczoną, którą na weselu zarznęli bo była stara i chora. Masę mięsa leżało na miskach ogromnych na stole — a skowronek usiadł sobie na flaszce z wódką.

Zobaczyli chłopci skowronka i chcieli go ręką złapać, a on poleciał na drugi koniec stołu i usiadł na pieczeni. Znowu go tam chcieli złapać, a on usiadł na głowie panny młodej. Zrobiła się z tego awantura i zaczęli wszyscy z hałasem skowronka gonić i tak się zaciętrzewili, że jak skowronek wyleciał przez drzwi na podwórko, wszyscy chłopci, baby i dzieci zaczęli go gonić i zostawili pieczeń.

Wilk wtedy chluzt przez okno do chałupy, porwał pieczeń, włożył pod stół i za zął pożerać.

Oczywiście chłopci skowronka nie złapali i do chałupy powrócili. A że chłopci opowiadali sobie o skowronku, baby śpiewały a muzyka grała, nie usłyszeli,

że tam pod stołem wilk pieczeń chrupał. Dziwno im było tylko, że jedna pieczeń gdzieś się podziała ale myśleli, że może zjedli i zapomnieli, bo już mieli dobrze w czubach.

Wilk się najadł dobrze i zrobiło mu się wesoło. Myśli sobie, kiedy oni śpiewają, to i ja sobie zaśpiewam, dlaczego nie! — Jak zawył pod stołem, na cały gardziel — tak chlōpi się okropnie przelękli i pouciekali, gdzie kto mógł, a wilk wtedy złapał resztę drugiej pieczeni i drapnął w swoje krzaki.

Skowronek z góry to wysoko widział i zaraz przylatuje do wilka i pyta?

— No, najadłeś się, to teraz chodź skończyć z tym kretem.

A wilk powiada:

— Aha! ani myślę — te szelmy baby tak pieczeń przesoliły, że mi się okropnie pić chce. Jak mi dasz co do picia, to może pójdę.

— A przecież tu blisko jest woda w strumyku!

— Wielki z ciebie mędrzec, chociaż taki mały, ja mam chlapać wodę, po takiej słonej pieczeni — niedoczekanie twoje, jabym się czego dobrego napił — tak... piwka albo co?

Tak skowronek się okropnie zmartwił, skąd tu dla tego hycła, wziąć piwa?

Podleciał znowu w górę — patrzy a tu jedzie żyd i wiezie beczkę piwa.

Jakby to tego piwa dla wilka dostać, myśli sobie skowronek. Stare sztuki są najlepsze... powiada i siada drzemiacemu żydowi na biczysku.

Żyd drzemał tylko na jedno oko, więc zaraz skowronka zobaczył i zaczyna pomału zesuwać biczysko coraz niżej, niżej... aż prawie do ręki i już chce chycić skowronka, a ten sobie leciutko zfrunął i usiadł mu na głowie. Ten się łap za głowę a skowronek już znowu na bacie.

Żydowi z początku ta zabawa się podobała ale w końcu złość go porwała i gdy skowronek usiadł mu na beczce — ze złości wyjął kłonicę i jak kropnął w beczkę koło czopa, tak beczka się przedziurawiła i piwo zaczęło się lać ostro. Rozłoszczony żyd całą siłą pchnął beczkę — beczka spadła, a on zaciął konie, które poczuwszy, że im ubyło ciężaru, pomknęły ostro.

Wkrótce tuman kurzu zakrył pędzącego żyda, który smagał z coraz większą złością konie, jak gdyby one były winne, że stracił beczkę piwa.

Skowronek przedziutko poleciał do wilka, który niezbyt daleko w krzakach leżał, powiada:



— Chybaj pić piwo, bo wycieknie...

Wilk się zerwał, hajda na drogę. No! piwa się tam wylało kilka garncy, ale było jeszcze tego tyle,

że się wilk urznął jak bela — zaczął podrygiwać, pośpiewywać swoim słowicznym głosem, (bo powiadają „słowik, co kobyły dusi“) i nuże termedye wyrabiać, wreszcie go zamroczyło i legł spać pod jałowcem.

Skowronek mówi:

— Najadłeś się, napiłeś się, to teraz chodź na tego kreta.

A wilk na to:

— Wynoś się stąd pędraku, bo ci te gnaty poprzetrącam, (jaki to gnaty we skowronku!).

Tak skowronek widząc, że z wilkiem sobie nie poradzi, podniósł się znowu w niebo wysoko — i zobaczył psa, co sobie leżał przed gankiem leśniczówki.

A możeby ten co pomógł?... — Opuścił się przy psie, który zaraz grzecznie usiadł na zadzie i zaczął ogonem wachlować.

— Cóż to pan dobrodziej sobie życzy? spytał.

Więc skowronek opowiada mu całą historję — z tym kretem i wilkiem.

Pies aż skomlał z niecierpliwości cieniutko, że ledwo wytrzymał.

Jak skowronek skończył — zaczął pies poszcze kiwać w sposób szczególny, grubo. — Leśniczy akurat wybierał się na obchód i zaraz się domyślił, że pies grubego zwierza markuje. — Wyszedł na ganek i powiada:

— No! Zagraj pokaz!

Pies kopnął się z miejsca, aż się zakurzyło — ale leśniczy krzyknął:

— Letko! za nogą!

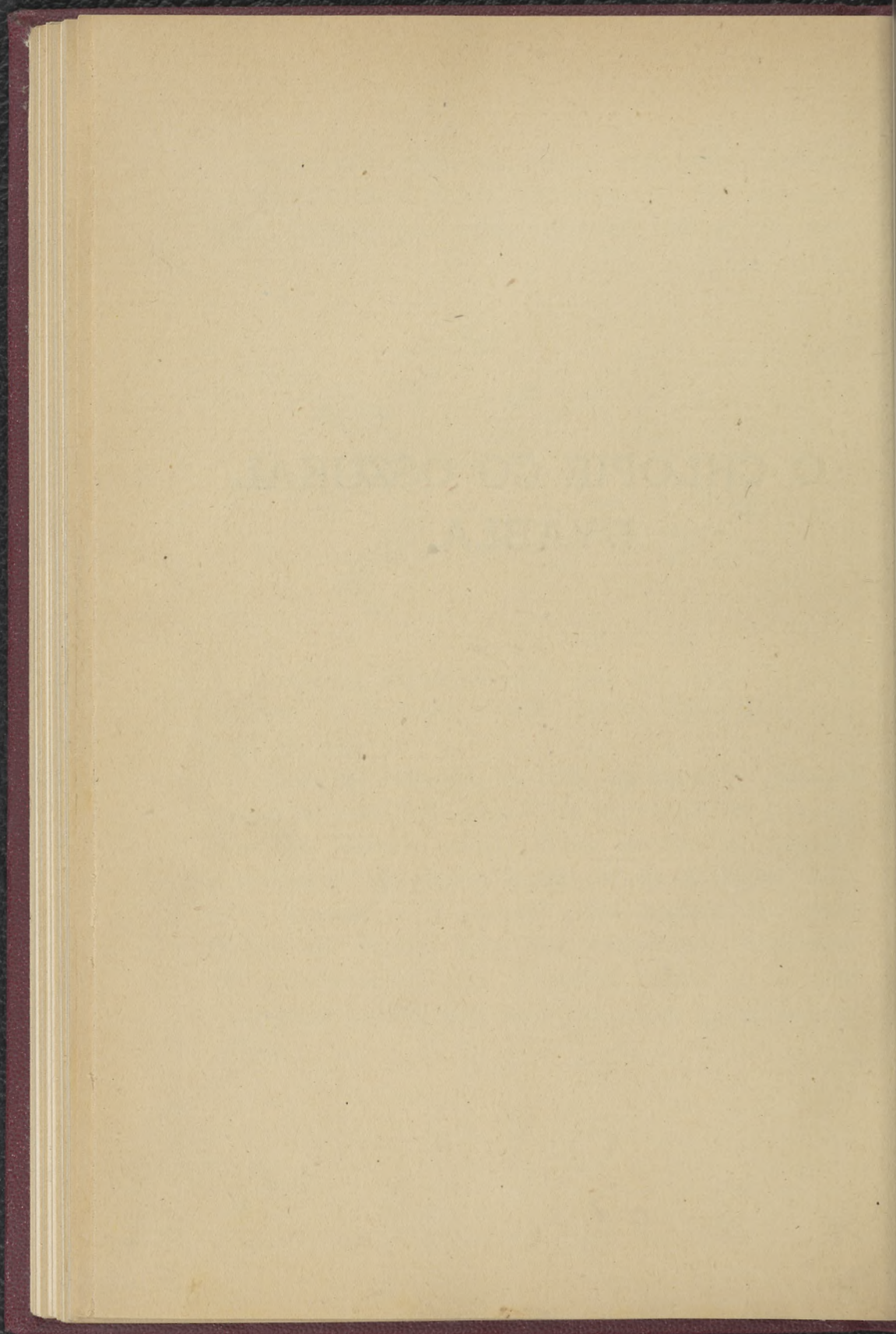
Więc pies dygocząc, jakby miał febrę, poszedł na parę kroków przed leśniczym — jak zwierzył wilka, najerzył się, ogon wyprężył i stanął jak mur.



Leśniczy dopatrył wilka pod jałowcem. Kropnął łoftkami na komorę a wilk się wyciągnął parę razy i już po nim.

Pies, jak zobaczył, że wilk już kaput — poleciał pędem w pole, tam gdzie było skowronkowe gniazdo, obwąchał dobrze, zaczął kopać przednimi nogami, a zadniemi odgartywać i dokopał się do kreta, uduślił — porzucił — i poszedł sobie truchta do domu. Nawet nie czekał, żeby tam skowronek dziękował. No i skowronięta tym sposobem ocalały i wyrosły i dzwoniły wesoło pod obłokami, swoje śpiewanie nad polem.

O CHŁOPIE CO OSZUKAŁ
DYABŁA.





O CHŁOPIE CO DYABŁA OSZUKAŁ.





Jeden chłop pojechał do lasa po drzewo. Ścion okropnom chojarę, coby była dobrom na słup do wetroka, ale nie móg ji som na wóz włożyć choć to przecie chłop był mocny.

Kręci się koło tej chojary, to tak, to siak, ani rus. Tak w ty złości powiada:

— Cheba do spółki z dyablem te chojare ruse!

Oglónnda sie, a tu djabeł jus kole niego stoi. Miał na łbie perugę, fracek z guzickami i jednom końskom nogę a drugom miemieckom.

Chłop sie przypatrzył djabłu i tak se myśli:

— Bogaty to ta ón nie jest, bo ma dziurę w pońcose na samy pięcie.

— Gospodorzu, chcecie ze mnom do spółki iść?

— Ech gdzieby jo ta seł do spółki z takim golcem!

— Pewno skroś ty pięty — mówicie, ale bo widzicie, to tak jest, ze jo jesce nie zyniaty. Rajom mi jedne carownice, ale kiej strasnie pyskato, to się boje, a tymcasem pońcosyska sie drom; bo u nas tako moda, że ino zóna moze swemu chłopu przyodziwe leperować... Ino sie zgódcie na spółke, a obocycie. Przy kozdem jenteresie, to ja będę wybiroł, co bedzie

moje, a co będzie wase, a jak wos do trzeciego roku osukam, to wasa dusza będzie moja.

Chłop se myśli: — Przecie cheba ten djabeł nie będzie mondrzejsy ode mnie, bom ta chwalić Boga nie głupiec, nie jednogom jus objechoł — i powiada: — Ha! no zgoda na spółke.



Tak wzieni sie do tej chojary — djabeł jak się spar, tak założył na wóz. Chłop to ta ino wołał: hop! ciup! ale sie nie przykładał.

Pojechali z tom chojarom do mynorza, co miał na górcie wietrok. Stargowali z tym mynorzem za te chojare 3 dukaty.

Ale ten chłop powiedział po cichu mynarzowi, żeby te dukaty włożył do worecka cerwónego.

Chłop położył ten worecek na stole i powiada do djabła:

— No kie spółka, to spółka — wybieroj!

Djabeł se myśli: Cerwóne to piękne co widze to jest, cego nie widze to moze nie być! — i powiada:

— Z wierchu moje.

Chłop wyjon dukaty z worecka, schował do trzosa, a djabłu oddał worecek.

Wszyscy zaceni sie śmiec z djabła a chłop pado do niego:

— Juzem cie roz osukoł.

— No wielgo rzec, udało ci sie jak ślepy kurze ziarno, a teraz co będziemy robić? — powiada djabeł.

— Bedziemy sadzić ziemnioki — powiada chłop — bo rychtyk cas.

Djabeł ta nie wiedział co to ziemnioki, ale nic nie mówi, ino powiada:

— Dobrze.



— Jak spółka to spółka, ty bedzies orol, a ja bede bronowol — powiada chłop.

Zaprzong djabła do pług — i rznie batem.

Djabłu ciężko i boli, ale oglónnda sie i pyto:

— Co to tak potrza?

— A jakżeś ty chcioł? jak orać, to orać!

Djabeł nic nie mówił i tak doorali. Jak skończyli, tak djabeł powiada:

— Teraz to ty bedzies ciognął to bronowanie — jak spółka, to spółka.

— Dobrze — powiada chłop.



A.R

Wzion djabła za nogi i ciągnął go po polu roz wele razu a djabeł pazurami dar po roli. Pobronowali pięknie, ino ze się djabłu pazury na nic zdarły.

Potem chłop wzion ziemnioki i zacon krajać do sadzynia, a djabeł patrzy i pyto:

— Po co to psujes?

— Bo tak potrza — powiada chłop. — I zasadził ziemnioki.

Djabeł był śpekulant, więc se myśli: — Oho! tero mnie nie osukos! — ale nic nie mówi, tylko powiada:

— Chces zeby my naprzód wybirali co moje, a co twoje?

— Jak spółka, to spółka — dobrze, wybierojmy. Cy chces z wierchu, cy od spodu?

— Moje z wierchu — powiadio djabeł. Bo se myśłoł tak: — kiej ón te ziemnioki nozem zepsuł, to juz pewno nic nie będzie pod spodem.

Bez ćtery niedziele, nic nie beło widać tych ziemnioków, ale w jeden poniedziałek wszystkie pięknie powschodziły.

Djabeł bez ten cały cas bojał się, cy wygro, cy przegro; jak zobacył zielone krzocki, tak sie uciesył. Zacon gmyrać pazurami w ziemi, zeby zobacyć, co się z temi ziemniokami stało, co chłop zasadził i obocył, co na nic, pokurcone i zcyrzniałe, tak se wycion hołupce i powiadio:

— Dobra nasa, jus go mom!

Na jesieni powiadio chłop do djabła:

— No bierz swoje z wierchu!

Djabeł powyrywoł suche badyle, popakowoł do worków, a chłop potem ziemnioki wykopoł i pojechali oba do miasta sprzedając.

Djabeł stanon se z wozem, naładowanym temi badylami i wołoł:

— Panowie gospodorze i panie gospodynie kupujcie mój towar!

Okropnie sie z djabła wszyscy uśmieli, az ich kolki spierały.

A chłop ziemnioki drogo sprzedał, bo nie pobrodzały stronami. Tak potem pokazuje djabłu pieniądze i powiadio:

— Przegrołoś kumciu!

Djabeł tak zgrzytnon zębami, co jaz mu ogień z pyska syponon.

— No a teroz co bedziemy robić? — pyto djabeł.

— Akurat cas sioć zyto na ziemniacysko.

— Kieś dwa razy osukoł na ten, co na wierchu, to tero bedzie moje to, co pod spodem — pado djabeł.

— Ha coz jo biedny będe robił — pado chłop — kiej tak chces, niech tak będzie! I zasieli zyto.

Puściła sie tako zielóna ruń — djabeł se myśli: teroz chyba wygrom, bo te ziemnioki beły tyz zielóne a przegrołem, trawa tako jest i tamta tam odyspuć, musi co będzie.

Na wiosne zyto sie puściło pieknie, ale ze była zaro wele zyta, łąka, tak te łąkę skosili i siano wysusyli (bo to beło somsiadowe). Djabeł se myśli: — no tero to pewnikiem moja wygrana, bo to zyto, to takie same bedzie, jak te moje przesłorocne ziemnioki



Δ.P.

Chłop zyto zezón, wysusył, omłocił, a djabeł kockom rzysko kopoł i do worków kłod. I znowu pojechali do miasta sprzedając.

Co kto obocy, co djabeł przywióz to sie śmieje, a nagorzy sie z niego zydy śmioly.

A chłop zyto sprzedał, bo beło piekne. Djabła o kęs nie ozniesło ze złości. Chłop pokazuje mu pie-niondze i powiada:

— Przegrołeś kumciu!

— Ho! tak sie tó nie skóncy — musimy się jeno roz próbować na moc. Za tydzień jo przyde do ciebie. Bedziemy sie drapać, kto kogo lepiej zadropie, to ten wygro, powiada djabeł i polecioł do piekła.

Chłop se myśli: tero to jus źle ze mnoom, jus pewno djabłu nie poredze — tak się zmortwił, ale ze beł Mazur, tak se myśli: — roz kozie śmierć! — Kupił spaśnom świnię; — trza przede śmiercią użyć!



Przyjechał z tom spaśnom świniom do dóm, a tu jego baba zaro poznała, ze mo jakies zmartwinie, tak zie pyto: — Co ci chłopie?

— Ech, powiada kiepsko. Trzy razy djabła osukołem, ale tero to nie wiem, jak bedzie, bo sie chce ze mnom dropać: kto kogo lepiej zadropie, ten wygroł.

Baba se krzyne pomysłała i pado tak:

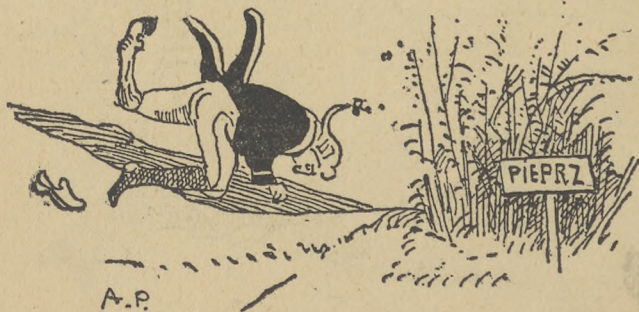
— Nie boj się, juz bedzie dobrze. Tak zacena z tom świniom sie bawić, umyła jom, ucesała, zawiónzała ji paciorecki na syji i ciągiem ino do nie godała:

— Córecko moja kochana! dziecko moje lube! — a świnią ino: chruń, chruń.

A djabeł bez ten tydzień chłopa śpiegował, co tyz bedzie robił i cudowoł sie, ze majom takom córke i ze ta baba tak ją strasnie lubi.

Wyseł tydzień, djabeł przylatuje z piekła, pazury sobie dobrze wywecowoł, na piekielnym kamieniu i wchodzi do izby.

A tu w izbie lament okropny, świnią lezy z ospłatanym kałdonem, bebechy wszyćkie na wierchu, a baba lezy wele ni, nogami wierzgo i kudły ze łba drze i wrzescy:



-- A rozbójnik! córke mi zamordowoł. O lo Boga rety! ludzie na świecie! ratunku! o jej, jej! o lo Boga gwałtu!

— Co to sie stało? pyto djabeł, ale go ciarki przesły.

— O lo Boga rety! zbój! poganin! córke mi zabił — het nogamy wierzgo i kłaki drze. — Chcioł ino spróbować, maluśkim pazurkiem, cy ostry i córkę mi naskrós przedropo!

Djabeł ścierp ze strachu i myśli se: — He! trzeba mu cheba zycie darować, bo to jakiś ordynarny cham... co ta z takim zacynać! i uciek kiej pieprz rośnie.



Tak dopiero sie chłop uciesył i baba jego tyz i śmiali sie z djabła. Oprawili te świnię, narobieli kielbas, kisków i różnych dobrości — sprosieli somsiadów. Jedli, pieli i pokrzykiwali, co nie na jednych krzcinach przez pół tak nie krzycom.

Takiem sposobem chłop z djabełm wygroł. Nie dziwota: przecie beł Mazur, a Mazur to sie i samemu djabłu nie do.

SPIS BAJEK.

	Str.
O sewcykowy dusycce	1
O takim dziadu co się w rzeczy z królowną ozyńił	9
O takim co rozumiał jak dzwirzeta gwarzom	17
O wilcku	25
O starym psie, ośle, kocie i kogucie	33
O babie co ozora za zębami utrzymać nie umiaua	41
Nosił wilk, ponieśli wilka	51
Zła żona	61
O skowronku, krecie, psie i wilku	73
O chłopie co oszukał dyabła	83



WYDAWNICTWA KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

W KRAKOWIE, SZEWSKA 17.

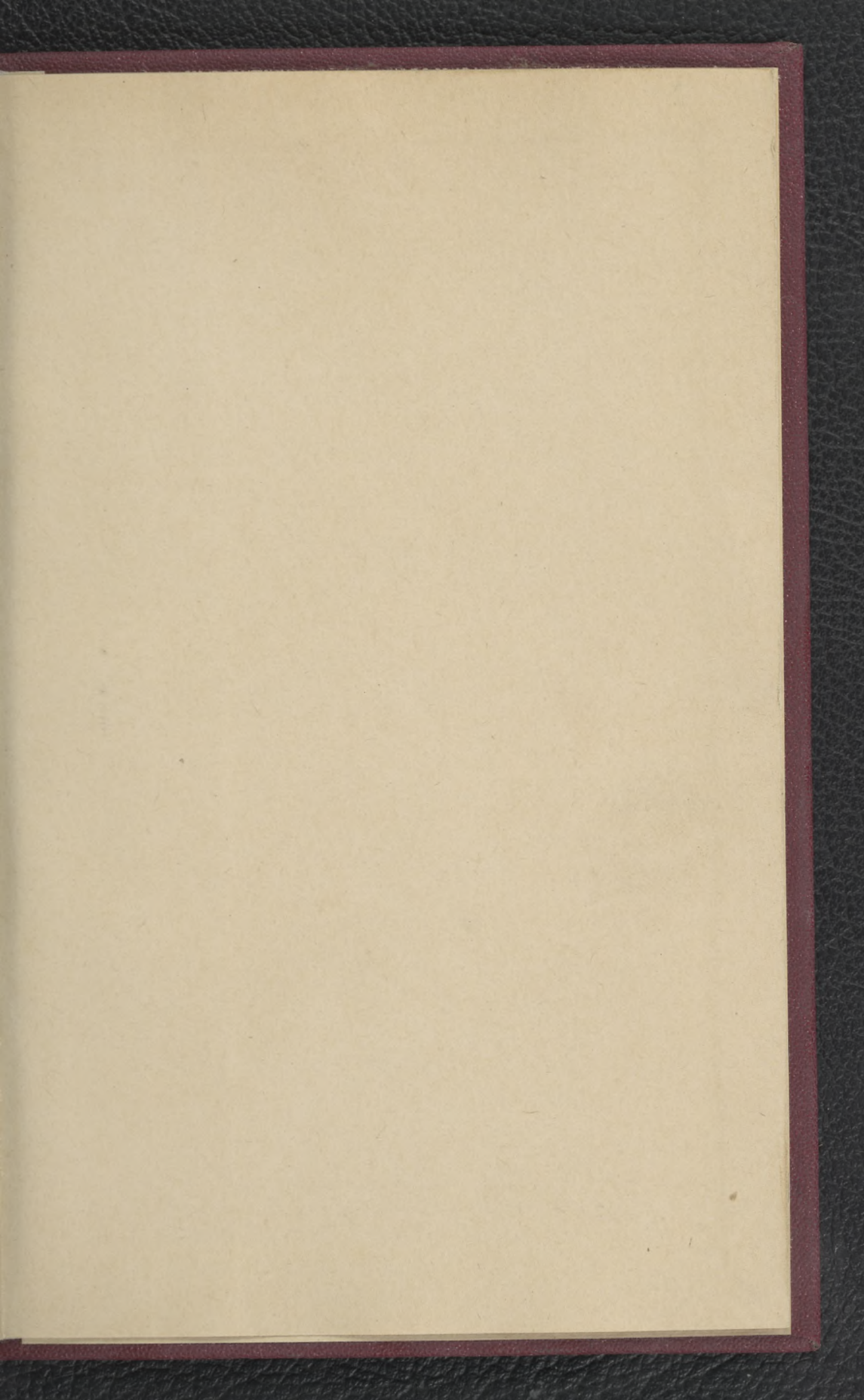
	Cena
Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński: Stary Gdańsk i historia jego sztuki.	K. 5'—.
— Dzieje sztuki staro-chrześcijańskiej.	K. 25'—.
Artur Gruszecki: Przed burzą. Powieść.	K. 3'50.
— Na posterunku. Powieść.	K. 4'—.
— W kraju palm i słońca.	K. 2'—.
A. Perfall: Grzech. Przekład Cz. Kędzierskiego.	K. 1'20.
Franiszek Rabellais: Wielkie a nieocenione kroniki o wielkoludzie Gargantui.	K. 1'—.
Wł. Tetmajer: Opowieści z dawnych lat.	K. 2'50.
— Raclawice. Powieść.	K. 3'—.
— Marsz Skrzyneckiego. Oprawne.	K. 4'50.
— Bóg się rodzi, moc truchleje. Z ilustracjami. Oprawne w płótno.	K. 3'20.
Maupassant G.: Krwawy rok. Nowele z wojny francusko-pruskiej 1870 i 1871 r. Serya I.	K. 1'50.
— Widma wojny. Nowele z wojny francusko-pruskiej 1870 i 1872 r. Serya II.	K. 1'50.
— Historye małżeńskie. Nowele.	K. 1'50.
Helena Filochowska: Czarne łabędzie. Nowele.	K. 1'50.
N. A. Sałtykow-Szczedryn: Satyry i powiastki.	K. 1'50.
Henryk Josse: Pogodne obrazki. Nowele.	K. 1'50.
Helena Ożcgańska: Storczyki. Nowele.	K. 1'50.
Ewa Soplica: Momenta. Nowele i obrazki.	K. 1'50.
J. Vrchlicky: Powiastki ironiczne i sentymentalne.	K. 1'50.
A. Awerczenko: Suche ostatki. Nowele.	K. 1'50.
Edgar Poe: Zdradzieckie serce. Nowele.	K. 1'50.
Kazimierz Tetmajer. Tryumf. Nowele.	K. 2'—.
— W czas wojny. Nowele.	K. 2'20.
— Judasz. Tragedya.	K. 6'—.
Marivaux: Komedye. Przełożył Boy. 2 tomy.	K. 7'—.
Józef Albin Herbaczewski: Amen.	K. 3'—.
St. Cercha i F. Kopera: Nadworny rzeźbiarz króla Zygmunta Starego Giovanni Cini z Sieny i jego dzieła w Polsce (z 112 ilustracjami w tekście).	K. 10'—.

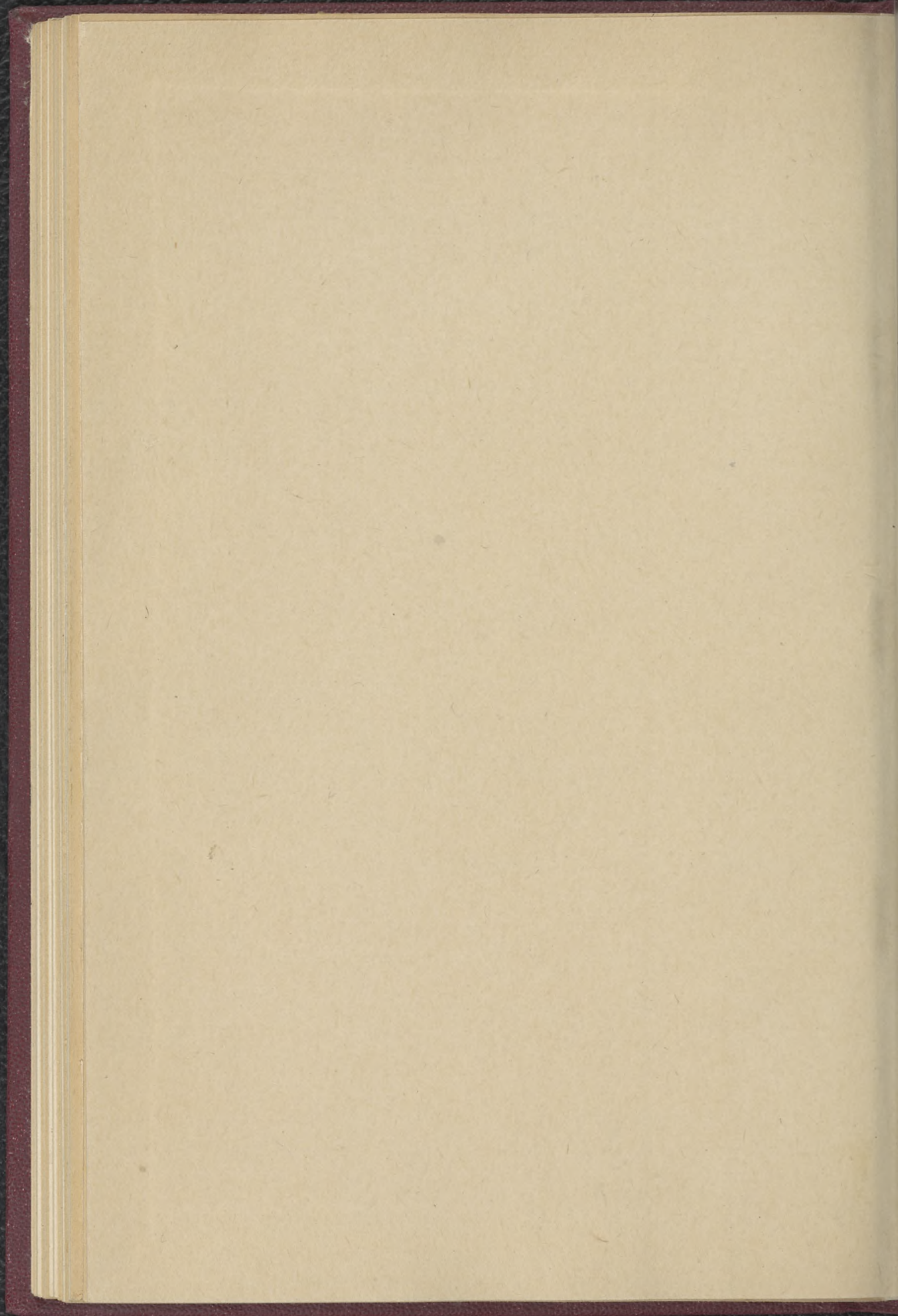
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE.

Nr. 1. Franciszek Żmurko, przez Wł. Prokescha	K. 4'—.
Nr. 2. Włodzimierz Tetmajer, przez J. Czerneckiego	K. 4'—.
Nr. 3. Wincenty Wodzinowski, przez Wł. Prokescha	K. 4'—.
Nr. 4. Józef Mehoffer, przez M. Samlickiego	K. 4. —.
Nr. 5. Wojciech Kossak, przez J. Nekandę Trepkę	K. 4'—.
Nr. 6. Piotr Stachiewicz, przez J. Nekandę Trepkę	K. 4'—.
Nr. 7. Ludwik Stasiak, przez J. Czerneckiego	K. 4'—.
Nr. 8. Antoni Piotrowski, przez Wł. Prokescha	K. 4'—.
Nr. 9. Józef Unierzyski, przez Wł. Prokescha	K. 4'—.
Nr. 10. Henryk Uziembło, przez W. Mitar- skiego	K. 4'—.
Nr. 11. Alfons Karpiński, przez dra Kleina	K. 4'—.
Józef Chełmoński, monografia przez A. Pio- trowskiego — w druku	K. —'—.
Piotr Stachiewicz: Boży rok. Dwanaście barw- nych ilustracyj w tece	K. 20'—.
— Papiery listowe z ilustracjami:	
Listy Pana Zagłoby Ser. I.	K. 14'—.
" " " Ser. II.	K. 14'—.
Alma Mater	K. 14'—.
Ad astra	K. 14'—.
Polska sztuka w kartach pocztowych (400 ilustr.)	K. 1'50.

Największy wybór kart pocztowych artystycznych.

Katalog ilustracyjny K. 1'50.







1411221

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020619501